Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII — *Niedziela, dnia 7 maja 1939 r.* — Nr. 19

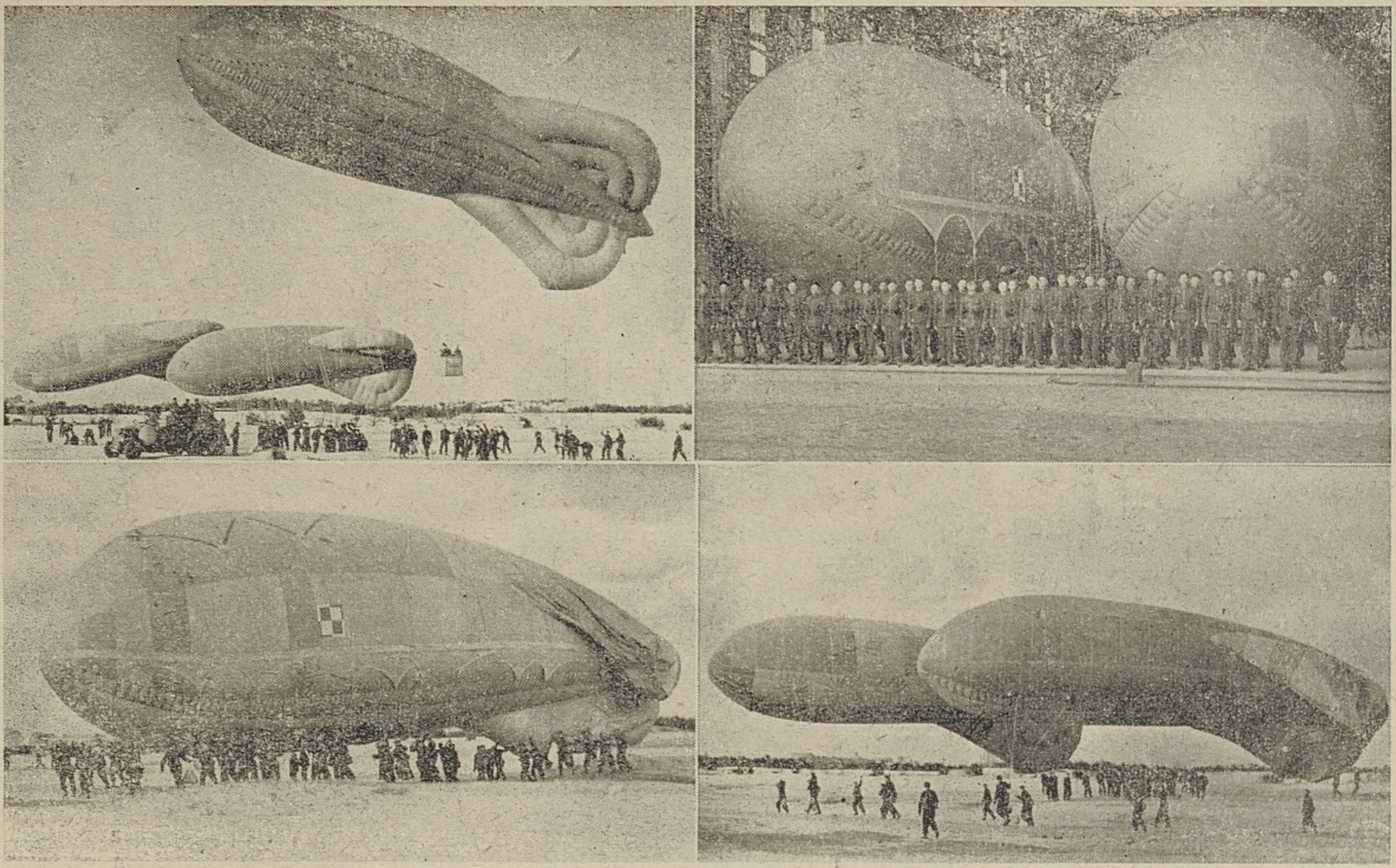


Wiosną ukwiecone drzewa tworzą czarujące tło dla sławnej katedry Notre-Dame w Paryżu.

SWIAT SIĘ ZBROI

POLSKA POTĘGA ZBROJNA





Żyjemy w czasach, gdy jeden dzień więcej znaczy niż dawniej miesiące. W ciągu doby zmieniają się granice państw, z których jedne potężnieją, drugie nikną z powierzchni ziemi.

Przemysł zbrojeniowy całego świata pracuje całą dobę bez przerwy. Nawet socjalistyczni robotnicy zrezygnowali z świętowania w dniu 1 maja.

Gotowość do podjęcia czynu zbrojnego stawia nas wobec konieczności odpowiedniego przygotowania potencjału militarnego i moralnego.

Przez krótki stosunkowo okres naszego bytu niepodległościowego zdołaliśmy stworzyć armię, która chlubę nam przynosi w rzędzie narodów świata. Górujemy nad innymi wysokowartościowym sprzętem wojennym, szczególnie w dziedzinie lotnictwa, a sprzęt ten stanowi groźną i niepokonalną broń w ręku naszego świetnie wyszkolonego żołnierza, który ponadto przepojony jest duchem gorącej miłości ojczyzny i wykazuje pozytywne, niezłomne wartości moralne.

Te ostatnie zalety cechują również całe społeczeństwo, które w chwili obecnej, chwili wymagającej maksimum spokoju, opanowania i gotowości, wykazuje niesłychanie wielką ofiarność na rzecz dozbrojenia w powietrzu.

Dumni możemy być z tego powodu. Dumni z naszej armii i z naszej postawy moralnej. Jeżeli wróg odważyłby się choćby tylko spróbować naruszyć cząstkę naszego terytorium, lub ukrócić nas w prawach przysługujących nam jako narodowi i państwu — zęby sobie połamie.

Dla zilustrowania tych słów dajemy dwa fotomontaże, przedstawiające niektóre fragmenty potęgi zbrojnej naszej Rzeczypospolitej.

Zdjęcia te reprodukujemy za specjalnym pozwoleniem władz.

Wspaniałe nasze bombowce typu „Łoś" (zdj. nr. 3 i 8), okazały się prawie najlepszymi na świecie.

Nalot na teren wroga, to najlepsza odpowiedź na wszelkie zakusy wraże. Jeżeli na niebie ukaże się wrogi samolot, to nasze świetne działa przeciwlotnicze (zdj. nr. 1 i 5) potrafią go albo odpędzić, albo strącić. „Królową broni" zwą zupełnie słusznie piechotę (zdj. 4). Bez udziału szarego piechura nie jest do pomyślenia jakakolwiek akcja strategiczna na ziemi. Pomaga jej dzielnie nasza słynna od wieków na całym świecie kawaleria (zdj. 7). Zmotoryzowana artyleria ciężka (zdj. 9) jest jednym z najnowocześniejszych sprzętów, tak samo jak groźne, siejące popłoch czołgi (zdj. 2 i 10). A przed nieprzyjacielskimi czołgami obronią nas skutecznie działka przeciwczołgowe (zdj. 6).

Jednym z najniebezpieczniejszych środków obrony przeciwlotniczej to balony zaporowe, których sieć stanowi przeszkodę nie do przebycia dla samolotów nieprzyjacielskich. Kilka balonów widzimy powyżej na drugim fotomontażu.

Oto pobieżny rzut oka na naszą armię niezwyciężoną, na jej doskonały sprzęt.

Jednak sprzęt ten ciągle jeszcze wymaga powiększenia, doskonalenia, uzupełnienia.

Dlatego też hasłem dnia dzisiejszego stały się słowa generalnego komisarza Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, gen. Berbeckiego.

„Gdy żołnierze naszej walecznej Armii, nasi synowie i bracia, gotowi są w każdej chwili oddać życie w obronie Polski — to ogół obywateli nie może szczędzić pieniędzy na lotnictwo i obronę przeciwlotniczą.

Każdy wie, że tylko wówczas będzie mógł spokojnie pracować i z ziemi swej korzystać, gdy tysiące uzbrojonych samolotów pilnować będą polskich niw przed nalotem wroga.

Obywatele! Pożyczcie Państwu każdą złotówkę posiadaną przez was! Pieniądze te państwo wam zwróci. Zapłaci również procent".

H. L.

ŻOŁNIERZ

Twój krok sprężony rytmem
w pochodzie nieustającym
i błysk stalowy bagnetu
opromieniony słońcem.

Przemierzasz czas zawieruchy
przez boje trudu i klęski,
nim sztandar swój białoczerwony
zatkniesz na szańcu zwycięskim.

W kolczastych zasiekach drutów
myślą ku gwiazdom się wspinasz,
gdy pierś tęsknota rozpiera,
a serce rwie się do czynu!

I trwasz nieutrudzenie
na straży: Ojczyzny swojej!
wpatrzony w znak orła zwycięski...
przez trudy znoje
i klęski —

...już dłoń zaciska karabin
nieustępliwie i hardo.
Już ostrzem bagnetu godzi
w pierś wroga z zimną pogardą.

Już pręży się serce do czynu
— już płomienieje skłębionym
— pożarem uczuć żołnierskich
w Ojczyzny walecznej obronie!

Józef Baranowski.

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Thompson zmierzył podoficera zimnym, stalowym i nienawistnym wzrokiem i, wykonując błyskawicznie myśl, która mu przyszła do głowy nagle i niespodziewanie, pchnął gwałtownie podoficera w sam środek stojących za nim żołnierzy, a sam skoczył jak ryś i pomknął w stronę straży angielskiej, którą widział opodal.

Za nim pogoniły kule z karabinów japońskich, ale nie zdołały go dosięgnąć, gdyż znalazł się już poza ich zasięgiem, na odwachu angielskim.

XVI.

TELEGRAM Z TOKIO

Porucznik Kiroka miał dyżur nocny. Siedział w swoim pokoju służbowym, mieszczącym się w dolnych izbach gmachu poselstwa i wsłuchiwał się w jednostajne monotonne tykanie aparatu iskrowego, odbierającego szyfry. Porucznik słuchał tych tykań i trzasków, ale zdawał się nie słyszeć ich wcale, a może i naprawdę nie słyszał. Marzył w tej chwili o dalekiej słonecznej ojczyźnie, o maleńkim domku w niemniej maleńkim ogródku, o żonie do figurynki z laki podobnej i dwojgu dzieci, które tam zostawił. Żona zdawała się uśmiechać do niego z oddali, to znowu widział ją składającą dary na ołtarzu domowym i modlącą się o jego szczęśliwy powrót do domu, albo o bohaterską jego śmierć na polu chwały z rozkazu mikada.

Kiroka tak był zatopiony w tych słodkich a dalekich marzeniach, że zapomniał zupełnie o miejscu i czasie i zdawało mu się chwilami, że to nie majaczenia wcale widzi, ale obrazy rzeczywiste i realne. Oto dwoje małych bobasów w barwnych kimonach goni się po maleńkim, filigranowym ogródku wśród upajającego zapachu kwiecia, którego tu pełno. Oto żona wybiega z domku i przywołuje je do domu, a one, rozbiegane i zadyszane, pędzą ku niej z ramionami szeroko rozstawionymi..

— Panie poruczniku... panie poruczniku..

Kiroka ocknął się i spojrzał przytomniej. Przed nim stał telegrafista, trzymając papier w ręku.

— Co takiego? Co się stało? — spytał porucznik niewyraźnie.

— Jest pilna depesza — szyfr z Tokio.

— Dobrze, dawaj ją — oprzytomniał już zupełnie porucznik i wziął papier z rąk żołnierza-telegrafisty. — Kiedy to otrzymałeś? — spytał jeszcze.

— Przed chwilą.

— Dobrze.

Porucznik powstał i poszedł do drugiego pokoju, gdzie pracowali oficerowie, specjaliści od odszyfrowania wszelkiego rodzaju depesz szyfrowanych własnych i cudzych, które łapał aparat radiowy nadawczo-odbiorczy. Oddał jednemu z kolegów telegram i usiadł obok. Oficer rzucił okiem na papier i, spostrzegłszy, że depesza jest pilna, zabrał się natychmiast do jej odszyfrowania. Kiroka patrzył mu na palce i widział, jak pod jego ołówkiem niezrozumiały szyfr przekształcał się w słowa czytelne i wyraźne.

— „Madame Berthier należy natychmiast oddać w ręce ludzi, którzy po nią się zgłoszą — czytał porucznik na papierze kolegi. — Ludzie, którzy przybędą po nią małym parowcem, posiadają wszelkie potrzebne dokumenty. Należy ich wylegitymować i madame Berthier oddać im w ręce za pokwitowaniem. Parowiec ma bez zwłoki odpłynąć z Szanghaju do Kobe".

Pod tą treścią następowały odpowiednio umówione znaki i podpisy.

Kapitan, odszyfrowawszy depeszę w całości, przeczytał ją porucznikowi Kirоce i spytał:

— Czy to już dzisiaj ma nastąpić?

— Nie wiem, kapitanie.

— Nikt się dotąd nie zgłaszał?

— Nikt.

Ale właśnie w tej chwili zjawił się w pokoju oficerów dyżurny żołnierz z oznajmieniem, że na wartowni czekają jacyś trzej ludzie, przybyli z Dajrenu parowcem. Przybywają w pilnej sprawie.

— Idź pan do tych ludzi — rozkazał kapitan — a ja zajmę się załatwieniem tej depeszy.

Kiroka poszedł do wartowni. Zastał tu istotnie czekających trzech Japończyków, z których jeden przedstawił się jako kapitan parowca i podał porucznikowi zalakowaną kopertę.

— Przybywamy w sprawie, w której panowie winniście już pewnie byli otrzymać telegram z Tokio. Chodzi o sprawę madame Berthier.

— Tak, wiem. Proszę tymczasem spocząć i zaczekać. Sprawa jest w trakcie załatwiania.

Po wyjściu porucznika, trzej Japończycy obrzucili się wzajemnie dość ciekawymi spojrzeniami.

Potem jeden z nich szepnął:

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za godzinę odpłyniemy na pełne morze, a do rana będziemy daleko stąd.

A drugi na to:

— Czekajmy cierpliwie, albowiem cierpliwość jest cechą ludzi mądrych.

I zasunąwszy się głębiej w siedzenie, przymknęli wszyscy trzej powieki pod pozorem drzemki, ale przez szpareczki oczu widzieli wszystko dokładnie. Najdrobniejszy nawet szczegół nie uszedł ich uwagi. Wszystko, cokolwiek działo się w wartowni, pilnie było przez nich śledzone.

Czekali tak długi czas, aż w końcu znowu zjawił się porucznik Kiroka i poprosił ich dalej. Wstali spokojnie i poszli za nim. Wprowadził ich do jednego z bocznych i, jak się zdaje — gościnnych pokoi, gdzie pozostawił ich samych na chwilę, a sam znowu gdzieś odszedł.

Trzej przybysze usiedli tutaj, zagłębili się w fotelach i przymknęli oczy, czekając. Najmniejszy nerw w ich twarzy nie drgnął, najlżejszy ruch czy gest nie mógł zdradzić, że są nieco podnieceni i zdenerwowani przeciągającą się procedurą załatwiania sprawy wydania więźnia.

Upłynęło tak może pół godziny, gdy znowu zjawił się porucznik Kiroka z jakimś drugim maleńkim Japończykiem o wyglądzie dostojnym i poważnym.

— Który z panów jest kapitanem Hokaido?

— Ja nim jestem — powstał pierwszy z brzegu przybysz.

— Dowód kapitański pan posiada?

— Służę panu.

Przybysz dobył z kieszeni książeczkę służbową i podał ją starszemu z oficerów do przejrzenia. Ten przeglądał ją pilnie czas dłuższy, przerzucił wszystkie kartki, badał adnotacje i w końcu uśmiechnął się i z tym błogim uśmiechem zadowolenia zwrócił kapitanowi Hokaido dokument.

— Wszystko w porządku. Za chwilę otrzymacie panowie więźnia. Czy madame



Po zakończeniu ćwiczeń obrony przeciwlotniczej, Mussolini dokonuje przeglądu oddziałów opl.

Berthier ma być dostarczona tylko do Kobe?

— Nie, stąd pojedzie do Tokio.

— W porządku — powtórzył znowu starszy oficer i, skinąwszy przybyszom dłonią na pożegnanie, oddalił się wraz z porucznikiem Kiroką.

A trzej pozostali marynarze znowu spojrzeli po sobie ciekawie, nawet bardzo ciekawie i, zająwszy swoje poprzednie miejsca — pogrążyli się w kontemplacyjnej drzemce.

Tym razem jednak drzemka ta nie trwała dłużej nad kilka minut; w pokoju zjawił się porucznik Kiroka, a za nim dwóch żołnierzy wprowadziło jakąś postać ludzką, tak okręconą w szale, że nie widać jej było nawet końca nosa.

— Oto więzień — rzekł porucznik Kiroka. — Zechce pan pokwitować odbiór, kapitanie — zwrócił się do Hokaidy.

Kapitan podpisał podsunięty mu papier, a tymczasem dwaj jego towarzysze ujęli pod ręce madame Berthier i opuścili budynek.

Po drodze do morza dwukrotnie zatrzymywały ich patrole, ale za każdym razem kapitan Hokaida podsuwał dowódcy patrolu przepustkę pod nos i żołnierz salutował ich tylko i puszczał wolno.

Tak dobrnęli nareszcie na wybrzeże, gdzie już czekała na nich szalupa. Wniesiono do niej pannę Berthier i szalupa odbiła od brzegu, mknąc po spokojnych tej nocy falach morza wschodnio-chińskiego ku stojącemu na redzie parowcowi.

Kiedy dobito do statku, dziesiątki rąk pochwyciły sznury i wciągnęły szalupę wraz ze znajdującymi się w niej ludźmi wysoko aż do burty statku. Pierwszy znalazł się na pokładzie parowca kapitan Hokaida i rzucił zciszonym głosem komendę:

— Podnieść natychmiast kotwicę i pełną parą naprzód.

Dość liczna załoga, jak na tak niewielki statek, rzuciła się do spełnienia rozkazów i nie minęło kilka minut, a parowiec wziął już kurs północno-wschodni i popłynął szybko w stronę pełnego Morza Żółtego.

Hokaido dopilnował tylko, aby statek wypłynął na pełne morze, po czym zbiegł do kajuty, w której umieszczono Danielę. Po drodze zrzucił z siebie wojskowy płaszcz japoński, z głowy zerwał perukę, z twarzy brwi i rzęsy doklejone, następnie, znalazłszy się już w kabinie, podszedł do umywalni i dokonał reszty, zmywając z twarzy szminki.

Panna Berthier, rozplątana już ze swoich szmat, siedziała na fotelu i zdziwionym wzrokiem przyglądała się zgromadzonym tu ludziom i całej kajucie, nic jeszcze z tego wszystkiego nie pojmując. Dopiero gdy Hokaido stanął przed nią cały w uśmiechach, źrenice rozszerzyły jej się ogromnym zdumieniem.

— Dr. Wang! — zawołała.

— W swojej własnej osobie i do usług pani.

— To pan, pan... — powtórzyła, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Ja, pani — odrzekł wciąż uśmiechnięty gubernator.

Źrenice panny Berthier zgasły nagle. Posmutniała w jednej chwili. Gubernator dostrzegł to i skinieniem ręki oddaliwszy wszystkich, dał jednocześnie rozkaz podania do tej kajuty posiłku wieczornego.

— Pani pozwoli się ugościć, madame — mówił uśmiechnięty w dalszym ciągu gubernator. — Myślę, że pani jest zgłodniała.

Daniela nie odrzekła nic na to, skinąwszy tylko przyzwalająco głową. Zrozumiała wszystko i była nawet bardzo wdzięczna tym ludziom za uratowanie jej od niechybnej śmierci, która niewątpliwie czekała ją w gmachu admiralicji japońskiej, z dr. Wangiem na czele. No, ale trudno, lepiej zawdzięczać swobodę człowiekowi nielubianemu, niż daremnie czekać na wyzwolenie przez człowieka kochanego.

Wang siedział naprzeciw Danieli i, jakby czując, że należy pozwolić tej kobiecie przetrawić w sobie wszystkie wypadki z ostatnich godzin, milczał. Tymczasem majtek wniósł jedzenie i zajął się przyrządzaniem stołu. Tajemniczy parowiec natomiast, wydostawszy się na pełne morze, wziął kurs wprost na półwysep Szantung i gnał przed siebie jak wicher. Daniela wyraźnie wyczuwała pod podłogą wytężoną pracę maszyn. Gdy parowiec drżał, stękał i jęczał, lecąc jak na skrzydłach.



Powrót bociana

Niosły go skrzydła szeroko rozwarte,
Jako ramiona w serdecznej tęsknocie...
I tonął cały w słońca szczerym złocie,
Gdy pełnił przodem niestrudzoną wartę.

I jak rozwianym wskazywał sztandarem
Szelestem skrzydeł czarne pól ugory...
Pozdrawiał wody i łąki i bory —
Wracał... bo tęsknił za gniazdem swym starym!

I przypadł piersią na strzechę wieśniaka,
Na swoje gniazdo zeszłorocznych godów;
Niepomny trudów, ni trosk, ni zawodów,
Stęskniony sercem powrotnego ptaka!

Zofia Borucka.

— Ile węzłów na godzinę robimy? — spytała nagle panna Berthier.

— Czterdzieści sześć do ośmiu.

— Gdzie jedziemy?

— Do zatoki Peczili. Tam panią wysadzimy w jednym bardzo przytulnym porcie, gdzie czeka na panią wysoko postawiony osobnik z rozkazami.

— Jestem bardzo wyczerpana — szepnęła Daniela.

— Wypocznie pani dostatecznie, aby nabrać sił do dalekiej drogi.

Spojrzała na niego wzrokiem nieco zdziwionym.

— Czy mam znowu gdzieś jechać?

— Nie wiem, pani, rozkazy co do pani nie są mi wcale znane. Ktoś dla pani miły spotka ją w zatoce Peczili i wręczy jej rozkazy.

— Jestem bardzo zmęczona — powtórzyła znowu. A potem spytała raptem:

— Doktorze, proszę mi powiedzieć, co się stało z panem Thompsonem? Był zamknięty razem ze mną i gdzieś go stamtąd zabrano.

— Nie mogliśmy go nigdzie odnaleźć. Szukaliśmy wszędzie, gdzie tylko szukać było można. Niestety, po mister Thompsonie wszelki ślad zaginął.

Daniela westchnęła boleśnie.

— Szkoda tego człowieka!... Wiele dobrego zrobił dla mnie.

— Może się jeszcze odnajdzie. Nasi ludzie i ludzie gubernatora Haillcourta mają rozkaz nie wracać bez niego. Dziwna rzecz, ekscelencja Haillcourt bardzo wziął do serca tę sprawę. Chyba jedynie przez wzgląd na panią, którą bardzo ceni.

— I sądzi pan, doktorze, że Thompson może się jeszcze odnaleźć?

— Z góry nic przewidzieć nie można. Ale jeżeli pani bardzo tego pragnie, wierzmy, że stanie się według jej myśli.

— Dlaczego?

— Pani go kocha.

Daniela spuściła powieki na oczy. Wang utrafił w najtajniejszą jej prawdę.

— Wiem o tym — powiedział jeszcze doktór.

— I nie czuje pan do mnie żalu z tego powodu? — podniosła na niego swoje śliczne orzechowe oczy.

— Dlaczego miałbym czuć żal?

— Przecież kochał się pan kiedyś we mnie...

— Ach, to było już tak dawno temu!... Byłem wtedy jeszcze bardzo młodym człowiekiem i wierzyłem w ideały wśród ludzi różnych ras i kolorów skóry. Wierzyłem więc i wtedy, gdyśmy się poznali w Sorbonie, że pani może mnie pokochać, mnie, człowieka żółtego, i że będziemy mogli być bardzo szczęśliwi...

Tęskna zaduma osiadła na ładnej twarzy doktora.

— Ale dzisiaj straciłem już wszelkie złudzenia — odezwał się znowu. — Pani mnie kochać nie może. Żadna biała kobieta nie powinna kochać człowieka innej skóry. Taki związek będzie zawsze nieszczęśliwy.

— Dlaczego?

— Życie świadczy aż nazbyt dobitnie o tym. Dwie rasy ludzkie, to dwa przeciwne bieguny. Rasa, pochodzenie, tradycja, zwyczaje, obyczaje — wszystko ich będzie zawsze dzieliło.

— A jednak bywają małżeństwa mieszane.

— Bywają, nie przeczę, ale czy te małżeństwa bywają szczęśliwe? Czy pani widziała chociaż jedno takie szczęśliwe małżeństwo?

— Owszem, znam pewną Polkę, która wyszła za sekretarza japońskiej ambasady w Warszawie. Młodzi ludzie czują się do dzisiaj bardzo szczęśliwi.

— Możliwe, ale i to szczęście nie jest stałe.

— A czy istnieje na świecie jakiekolwiek szczęście stałe? Czy widział pan, teraz ja z kolei zapytam — aby ktoś był ciągle, ustawicznie szczęśliwym? Prawda, że nie. Szczęście jest tak samo zmienne, jak wszystko inne na świecie.

— Możliwe — powtórzył znowu doktor. — No, ale tymczasem proszę się posilić po swojej długotrwałej niewoli w rękach Japończyków.

Daniela ujęła w ręce nóż i widelec i zabrała się do jedzenia. Równocześnie nie



Szturm piechoty japońskiej na dworzec w Nan Czang

przestała obserwować ciekawie doktora Wanga, swojego dobrego znajomego z lat dawniejszych, z okresu, kiedy oboje byli studentami paryskiej Sorbony i kiedy to Wang kochał się na śmierć w niej

— I kto by się spodziewał — odezwał się w pewnej chwili doktór — że po tylu latach niewidzenia, spotkamy się znowu i to w tak oryginalnych warunkach!

Daniela podniosła głowę znad talerza.

— Mnie to nie dziwi — powiedziała. — Losy ludzkie tak nieraz dziwnymi drogami chadzają, że trudno przewidzieć cokolwiek z góry. Życie nie stoi na miejscu, doktorze, ale postępuje wciąż naprzód i naprzód.

— To prawda, życie postępuje wciąż naprzód. Postępuje naprzód i dokonywuje ogromnych zmian. Przed pięciu laty np. miałem złudzenie, że pani mnie kocha, dzisiaj stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że jest zupełnie inaczej.

— Czyż nie uważa pan, doktorze, że sprawa ta dla nas obojga już dawno umarła?

— Owszem — jestem tego samego zdania.

— Czy, wobec tego, nie moglibyśmy tego tematu wykreślić z naszej dzisiejszej rozmowy? Byłabym panu bardzo za to wdzięczna.

— Czy pani obawia się tej rozmowy?

— Nie — dlaczego?

— Więc czemuż nie moglibyśmy porozmawiać na ten temat jak dwoje dorosłych i zrównoważonych ludzi? Jesteśmy dzisiaj całkowicie samodzielni i możemy czynić wszystko, co nam się podoba. Jeżeli jednak uważa pani, że rozmowa na ten temat sprawia jej przykrość, możemy nie rozmawiać.

— Nie, przykrości mi to nie sprawia, ale uważam, że odnawianie sprawy, która dawno należy do przeszłości, nie przyniesie żadnemu z nas nic pozytywnego.

— Pozytywizm, tak modny niegdyś kierunek europejski, dzisiaj i w ogóle dla mojego kraju jest zupełnie obcy. My, Chińczycy to może na oko wydawać. A przy tym, nie jesteśmy większymi marzycielami, niż się terialnymi, które w Europie stanowią dla niejednego człowieka jądro wszelkiego sensu istnienia.

— W swoim czasie lubił pan Europę i Europejczyków.

— I dziś ich lubię. Może mniej lubię dzisiaj Europejczyków od Europejek dawniej, ale nienawiści nie chowam w mym sercu dla nikogo z białych. Pani domyśla się zapewne, dlaczego?

— Nie, nie wiem, dlaczego?

— Pani mnie nauczyła kochać ludzi białych.

— Ja?

— Tak, czy pamięta pani pewien wieczór, w którym roztrząsaliśmy sprawy różnicy ras i uczuć rozmaitych wśród różnych ludów? Pamiętam, że ja nawet wtedy oświadczyłem się pani. I rzeczywiście wtedy, gdy mówiłem pani o tym, naprawdę rzetelnie ją kochałem.

— A dzisiaj jestem panu obojętna, doktorze, czy tak?

— Niezupełnie. Gdy pani nie widziałem — zapomniałem o tym wszystkim, co było między nami niegdyś, ale gdy ją znowu dzisiaj zobaczyłem, odżyły we mnie wszystkie dawne wspomnienia i mam takie wrażenie, jakby pani stała mi się znowu bliższa. O, proszę się nie obawiać, nie mam zamiaru ani oświadczać się pani po raz wtóry, ani też zobowiązywać jej do czegokolwiek. Dzisiaj płoną lasy wolności i niezawisłości mojej ojczyzny, nie czas więc żałować róż wspomnień młodości. Po prostu nie ma na to czasu.

— Słusznie, życie wymaga od nas dzisiaj czego innego, niż zajmowanie się własnym szczęściem. I na to jednak przyjdzie czas. Każde z nas znajdzie w swoim czasie obiekt miłości i będzie szczęśliwe.

— Pani wierzy w szczęście na ziemi?

— A czemuż miałabym nie wierzyć!

— Kocha pani?

— Może.

— Czy mister Thompsona?

— Zaczyna pan być niedyskretnym, doktorze. Czy pan widział kobietę, która by czyniła podobne wyznania mężczyźnie, który jej się niegdyś oświadczył?

— Przepraszam. Lecz jeśli moje domysły są prawdziwe, życzę pani szczęścia. Pan Thompson jest zacnym człowiekiem.

— Dziękuję.

XVI.
NOWA PUŁAPKA

Thompson przeleżał kilka dni w hotelu, wciąż gorączkując i nie mogąc przyjść do siebie. Morton nie odstępował go prawie na krok, radził nawet przeniesienie się do szpitala, ale Fryderyk nawet słuchać o tym nie chciał.

— Przecież nie jestem śmiertelnie chory, człowieku — odcinał się Renému. — To wszystko wynik przejść, które, na szczęście, mam już za sobą.

— Pleciesz duby smalone! Jesteś chory i to chory bardzo poważnie. Obawiam się nawet gorszej rzeczy, niż ta gorączka — tu może dojść do zapalenia płuc i mózgu.

— Jechał cię sęk z takim prognostykiem! Powiadam ci, że to przejdzie.

— Daj to Boże, ale to mało prawdopodobne

— Przestań, René, pókim dobry.

— Jak będziesz całkowicie zdrów, nic wspomnę o niczym, nawet o twej lubej.

— Słuchaj, René, tylko mi na Danielę nie mów nic złego!

— Nie mam wcale zamiaru obdzierać twojej szanghajskiej narzeczonej z blasków i uroków, w jakie ty ubrałeś ją w swojej naiwności. Widzę bowiem, że gdy kto jest chory na głowę, to mu już nic nie pomoże.

— René!

— Słucham cię zaklęty rycerzu mandżurskiej dziewicy.

— Przestań drwić!

— Bynajmniej nie mam takiego zamiaru, przeciwnie, jestem całkowicie po stronie Danieli. Wydaje mi się ona bardzo mądrą i przebiegłą kobietą, a takie nieczęsto się spotyka. Bo czyż to nie spryt z jej strony, że zaledwie spojrzała na ciebie, już cię uroczyła i wyprowadziła całkowicie z równowagi? I to kogo! Najtrzeźwiejszego i najrozsądniejszego do niedawna korespondenta spośród wszystkich korespondentów, jacy kiedyolkwiek istnieli! Po prostu, wyrażając się językiem prostym i brukowym, zabiła cię w capa na fest. Już cię teraz nieprędko i nie byle kto odgrzebie z tego marazmu.

Thompson uniósł się na łokciu i spojrzał takim wzrokiem na przyjaciela, że ten zasłonił się komicznie rękami i zawołał ze sztucznym przestrachem:

— Błędny rycerzu tajemniczej damy, daruj mi życie! Przysięgam, że już nie wspomnę jednego złamanego słowa o tej lilijce wyrosłej na śmietniku szanghajskim! Przebaczenia, panie Thompson.

— René! — zawołał wściekłym głosem Fryderyk. — Przysięgam ci na wszystko, co mam najdroższego w życiu...

— Danielę, niewątpliwię.

— ...że strzaskam ci łeb tą flaszką, jeżeli nie przestaniesz.

I Thompson ujął za szyjkę flaszki po winie, gotów wymierzyć cios, jak to obiecywał.

— Dajże spokój, Fred, czyś bzika dostał? No już, już, pal sześć tę całą twoją Danielę i wszystkie gejsze europejskie na Dalekim Wschodzie. Połóż się i zrozum, że rady moje są dobre. Czyż ja dla siebie doradzam ci przeniesienie się do szpitala? Czy to ja jestem chory? Uszanuj moją troskliwość o ciebie. (C. d. n.)

Leśny człowiek

Następnego dnia o świcie Wyczółkowski wyruszył w las, Jerzy pozostał w domu. Siedział przed domem bezczynnie, a obok niego leżał Asan liżąc od czasu do czasu chorą swoją łapę.

Koło południa przyszedł posłaniec z leśnictwa i przyniósł polecony list. Była to zapowiedziana przez Andrzeja książeczka P. K. O.

Jerzy włożył ją do kieszeni, uwiązał Asana na smyczy do kołka przed domem, zarzucił strzelbę na ramię i chwilę się zastanowił. Wszedł do gajówki, znalazł kawałek papieru i ołówek. Napisał:

„Drogi, najlepszy Przyjacielu —

Dziękuję Ci za wszystko. Wiem, że jak przemyślisz całą sprawę, zrozumiesz moje wczorajsze szaleństwo i potrafisz mi je przebaczyć. Odchodzę stąd w dalekie światy. Wrócę, jeśli Bóg pozwoli. Z pierwszego urzędu pocztowego jaki napotkam wyślę Ci, Przyjacielu, pięć tysięcy złotych. Przydadzą Ci się na czarną godzinę.

Nie odmawiaj mi uścisku Twojej szlachetnej ręki. Nie jestem podły. Byłem tylko szalony bólem. Żegnaj mi —

wiernie oddany Jerzy Jeleniecki"

Położył kartkę na stoliku, w którym gajowy przechowywał proch i śrut, potem rozejrzał się dokoła, jakby żegnając każdy kąt izby — i wyszedł.

Poszedł w las nie oglądając się już poza siebie. Wkrótce zginęła między drzewami jego pochylona postać, utykająca ciężko na prawą stronę.

VI.

Tego samego roku w końcu września Ina przyjechała odwiedzić ojca. Mąż nie mógł jej towarzyszyć, ponieważ nie pozwoliły mu na to interesy majątku, którym zarządzał.

Jesień była wyjątkowo ciepła, piękna, pogodna. Świat cały wyglądał jak zaczarowana kraina z bajki, mieniąca się najcudniejszymi odcieniami złota, purpury i fioletu. Srebrne nitki babiego lata omotywowały gałęzie drzew, snuły się tęsknie nad polami, unoszone podmuchami lekkiego wiatru.

W taki właśnie dzień Ina wybrała się do lasu małym wózkiem. Ze względu na swój odmienny stan nie mogła całej drogi przejść piechotą. Ale gdy znalazła się już w samym lesie, na dobrze znanej jej drodze, pełnej czarownych, przedziwnych wspomnień, kazała zatrzymać konie, wysiadła z powozu, poleciła furmanowi czekać na siebie i poszła wzdłuż drogi piechotą.

Z mężem — według danego przyrzeczenia, że nigdy pierwsza nie wróci do leśnych przeżyć — nie mówiła o tych wspomnieniach, które świeże i przecudne zachowywała w duszy. Czasami męczyło ją to przymusowe milczenie na te tematy, tak dziwne, tak nieprzeciętne. Była też ciekawa, co swego czasu zmusiło jej męża do ucieczki w odludzie puszczy, nie mogła zrozumieć, dlaczego mając do niej bezgraniczne zaufanie i kochając ją tak szczerze i gorąco, tej jednej strony swojej duszy i tego jednego okresu ze swego życia nie chce jej wyjawić. Ale była cierpliwa. Wierzyła, że jednak przyjdzie czas, kiedy i do okresu ich dziwacznego poznania się będzie można wrócić we wspomnieniach.

Cieszyła się, że jedzie do ojca nie tylko z tego względu, że odwiedzi go i jakiś czas z nim pobędzie. Cieszyła się, że będzie mogła też odwiedzieć to jedyne najmilsze miejsce, gdzie urodziło się jej szczęście. Ledwo więc przyjechała w te strony, zaraz następnego dnia wybrała się do lasu.

Szła teraz w ciszy leśnej drogą zasypaną kolorowymi liśćmi, wchłaniając chłodnawy wilgotny podmuch, jaki szedł z głębi lasu.

Każdy krok stawiany naprzód przypominał jej te wszystkie chwile jakich świadkami były cicho stojące wzdłuż drogi drzewa. Śmiać jej się teraz chciało na wspomnienie tego szalonego strachu, jaki ją ogarnął przy pierwszym spotkaniu z Leśnym Człowiekiem. I wciąż pojąć nie mogła skąd powstało w niej tyle zaufania, tyle wiary w niego, że pomimo wszelkich pozorów jak najgorszych — wracała tutaj codziennie...

Niosła ze sobą aparat fotograficzny, bo chciała koniecznie sfotografować stary wspaniały dąb, pod którym ujrzała po raz pierwszy Jego.

Już widzi szeroko nad drogą wystające konary kochanego drzewa. Jest niedaleko. Serce jej tak bije, jak gdyby zbliżała się do żyjącej i tęskniącej do niej istoty.

Ale co to?

Ktoś stoi oparty o pień...

Przetarła oczy. Nie, nie myli się; ktoś stoi, odwrócony twarzą w jej stronę.

Przyspieszyła niespokojnie kroku.

Już widzi wyraźnie: to ktoś obcy. Nie ma ani długich złocistych włosów, ani złocistej brody, jak król z bajki.

Ina podchodzi blisko i przygląda się nieznajomemu. Zatrzymuje się. Coś ją boleśnie ścisnęło za serce: ukochane drzewo rozdarte przez piorun tak żałośnie zwiesza naderwany konar... jej drzewo szczęścia...

Tymczasem człowiek spod dębu, w stroju gajowego, kłania jej się grzecznie i uśmiecha pod rudym wąsem. Ina zdziwiona jest tym powitaniem nieznajomego.

A on podchodzi do niej i kłaniając się raz jeszcze mówi:

— Wyczółkowski stary do usług wielmożnej pani Jelenieckiej....

— Skąd mnie pan zna?... — pyta zdumiona.

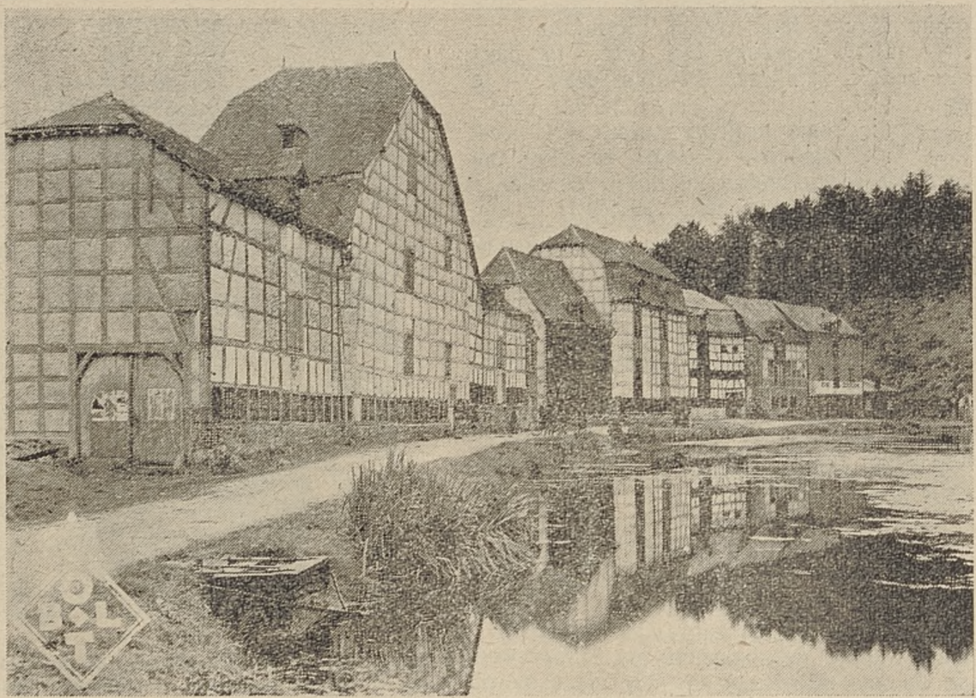
— Pana Andrzeja znam od tyciu, tyciu tyciego — pokazuje ręką nad ziemią — a panią... widziałem tu w lesie... poznałem teraz...

Ina zmieszała się trochę, ale i miło jej było bardzo, że tak zupełnie niespodziewanie spotkała się z tym wielkim przyjacielem jej męża i jego brata, o którym często Andrzej opowiadał.

— O, ja pana znam doskonale z opowiadań mojego męża. Bo jest bardzo do pana przywiązany... I dużo czasu z panem spędził... tutaj w lesie... właśnie kiedy go poznałam tu, pod tym drzewem...



16-letniego chłopca murzyńskiego osadzono w więzieniu w Huntington (Stan Wirginia U.S.A.) za to, że włamał się do pewnego mieszkania otworzył skarbonkę i skradł 1 penny. Czeka go rozprawa przed sądem najwyższym Stan. Zjedn.



Romantyczny widok starych spichrzów w Stavelot w Belgii



Do Nowego Yorku przybył słynny lotnik płk. Lindbergh. Silna eskorta policji tłumaczy się tym, że płk. Lindbergh zajmuje stanowisko rzeczoznawcy lotniczego U. S. A.

Teraz Wyczółkowski ostatecznie upewnił się, że w całej tragicznej zamianie osób, nie było niczyjej złej woli, jedynie pomyłka, jedynie figiel wypłaty przez los, tak często występujący w roli krotochwilnego i złośliwego chochlika. Straszny żal ścisnął mu serce nad nieszczęsną dolą „pana inżyniera". Czyż można mu nie przebaczyć tej zbrodni z dzikiem... Mógł przecież zupełnie oszaleć z tak bardzo nieszczęśliwego kochania! A ona cudna jest, ta „koza", och, jak można ją kochać!

Ale rozumiał też stary zacny druh i przyjaciel swoich paniczów, że jeśli sam „pan inżynier" pary z gęby nie puścił, to i jemu nie można!

— A no, tak... przeżyli my razem niejedno... dobre i złe... — powiedział z łagodnym uśmiechem i lekkim westchnieniem. Jednocześnie dreszcz nim wstrząsnął na myśl, co by było, żeby tak „pan inżynier" nie poszedł sobie z lasu i teraz pod tym dębem był...

— Przyszłam tu, żeby sfotografować sobie na pamiątkę ten dąb — rzekła Ina — on jest moim wielkim przyjacielem.

— I widział niejedno... — szepnął Wyczółkowski, ze zgrozą przypominając sobie straszną scenę z dzikiem. Mówiąc to odszedł na bok, aby nie przeszkadzać w zdjęciu.

— A teraz pana muszę uwiecznić na kliszy — powiedziała Ina po sfotografowaniu drzewa. — Niech pan stanie tu, koło tego głazu.

— Zaraz, zaraz, może pani łaskawie poczeka. Gwizdnę tylko na mego pasa. My zawsze razem, to i na fotografii razem być musimy...

Zagwizdał raz i drugi. W głębi lasu Asan odszczeknął. Gajowy gwizdnął raz jeszcze. Po małej chwili wypadł z gąszczów przydrożnych wesoło rozhasany, pełen fantazji i świetnego humoru Asan. Zatrzymał się gwałtownie na widok nieznajomej postaci, a kiedy Ina wyciągnęła do niego życzliwie rękę i serdecznie zaczęła przemawiać, pozwolił się pogłaskać i merdnął z zadowolenia ogonem.

— Jak to on zna swego człowieka! — rzekł z dumą Wyczółkowski. — Mądra to sobaka, mądra, jak mało która.

— Andrzej lubił go? — zapytała Ina.

— Jeszcze jak!

— A jak się ten miły mędrzec wabi?

— To pan Andrzej nie opowiadał pani o nim? Nie mówił jak się nazywa?

— Nie... Mój mąż nigdy nie mówi o swoim pobycie w tutejszym lesie... Więc jak się nazywa ten pies?

— Asan, do usług wielmożnej pani!

— Asan! Tak, tak, moje psisko kochane! — pieściła się z nim Ina. — Ty jesteś prawie jak członek naszej rodziny. A czy on tutaj z Andrzejem chodził na polowanie, czy tylko z panem?

— Chodził, chodził... jakżeby nie...

— Proszę pani... — zaczął raptem gajowy po krótkiej chwili milczenia — miałbym ja jedną prośbę do wielmożnej pani... ale nie śmiem powiedzieć...

— O cóż chodzi? Jeżeli tylko będę mogła ją spełnić...

— Może pani powie, że się mieszam w nie swoje rzeczy... ale ja stary przyjaciel rodziny całej.

— Więc co?...

Wyczółkowski spojrzał na lekko zmienioną figurę Ina i rzekł nieśmiało.

— Jakby pierwszy był syn... to niech mu będzie na chrzcie świętym dane — Jerzy...

— Imię brata mojego męża...

— Tak, właśnie... dlatego, że brata męża... Na pewno szczęście mu przyniesie... ja wiem. A pani zna pana Jerzego?

— Nie. Nigdy go jeszcze nie widziałam.

Wyczółkowski zadumał się poważnie. Coś chwyciło go za grdykę. Jakieś dziwne wzuszenie ogarnęło serce.

— Dziwne zrządzenia boskie, dziwne...

— Co pan mówi?

— Nic... ale nie ma na świecie drugiego takiego brata jak pan Jerzy. On by naprawdę życie i szczęście dla pana Andrzeja mógł oddać...

— Wiesz że się bardzo kochają. Dobrze jeżeli będzie syn — nazwiemy go Jerzym.

— A gdzie teraz pan Jerzy, nie wie pani?

— Nie wiem dokładnie, bo nikt tego nie wie. Jest gdzieś zagranicą. Wyjechał z kraju i zdaje się nieprędko ma zamiar wrócić do nas. Mój mąż się martwi, że ostatnio Jerzy bardzo zdziczał. Czy tak jest rzeczywiście?

— Pewno, że tak jest, skoro pan Andrzej tak mówi... — odparł dyplomatycznie stary gajowy.

— No, ale zagadaliśmy się i nie zrobiłam jeszcze pana fotografii. Proszę, niech pan stanie razem z Asanem. O, tak. Dobrze. Jest. Dziękuję. Andrzej będzie bardzo zdziwiony jak mu pokażę tę fotografię, ale i zadowolony na pewno... Czy daleko stąd do pana domu? — zapytała raptem.

Wyczółkowski prędko pomyślał, że odwiedziny Iny w gajówce nie są pożądane ze względu na Marcinową, która nie orientując się nic w sytuacji, gotowa coś palnąć niewłaściwego i wyjdzie cała historia. Więc odpowiedział stanowczo:

— Oj, proszę pani, strasznie stąd daleko. A dojechać końmi — nie dojedziesz! Na piechotę nie dla pani teraz taki spacer.

— Szkoda... Bardzo chciałam zobaczyć dom, w którym mieszkał Andrzej, gdy się bawił w pustelnika... Wszystkie te miejsca są mi bardzo drogie i bardzo mnie interesują...

— Może kiedy z panem Andrzejem pani tu przyjedzie?...

— Może... — odpowiedziała, a pomyślała sobie, że ona niestety prosić go o to, ani proponować takiej wyprawy nie może. Musi czekać aż sam zechce...

* * *

W dwa tygodnie później wracała do domu i cieszyła się niezmiernie, że wreszcie zobaczy Andrzeja, do którego stęskniła się bardzo.

Wieczorem siedzieli przy palącym się kominku, przytuleni do siebie i opowiadali sobie nawzajem wszystko co działo się z każdym z nich przez dwa tygodnie rozłąki.

Ina nie wspomniała o swojej wyprawie do lasu. Była jednak bardzo ciekawa wrażenia, jakie zrobi na mężu fotografia starego dębu. Przyniosła cały plik zdjęć z pobytu u ojca i kolejno oglądali je razem. Gdy Andrzej wziął do ręki fotografię dębu, Ina bacznie obserwowała jego twarz. Żaden nerw w niej nie drgnął. Andrzej patrzał spokojnie i powiedział:

— Śliczny obiekt do zdjęcia: wielki dąb, król puszczy, rozszczepiony przez piorun... bardzo pięknie wygląda i wspaniale...

Potem wziął następne zdjęcie.

(Ciąg dalszy na str. 373)



Dwaj najmniejsi pasażerowie statku „Dilwara". Są to dzieci żołnierzy angielskich, którzy wysłani z Anglii do Palestyny, zabierają z sobą rodziny.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

„WIEDŹMA Z DEBRY“ I INNI „KRAINIACY“!

Serwus „Wiedźmo!“ — Daj no łapska,
Poznać bliżej nam się godzi.
Jam „Szatanek“ — Ty zaś babsko,
Lecz w przyjaźni to nie szkodzi!
„Czarny diabłek“ — daj kopyta —
Niech cię ścisnę z całej siły.
Skądże rodem? — Tak się pytam,
Gdyż z pewnością jesteś miły?...
„Zairo“, choć nas przestrzeń dzieli,
To cię lubię nie na żarty!
Napisz do mnie mało wiele
I przyjaźni pakt zawarty!
Halo „Tyran“ — nie śpię wcale.
Czekam na Twą „beczkę śmiechu!“
Pewnie czujesz się wspaniale?
Napisz liścik na pociechę!
Hej „Pieśniarzu“ — nuć swe pieśni!
Może którąś z nich usłyszę?
Oj, zapewne Ci się nie śni,
Kto i skąd do Ciebie pisze!
Czy „Znudzony“ pod „15-stą“
Chce mieć we mnie przyjaciela?
Bo już ze mnie dziewczę takie,
Co każdego rozwesela!
„Eros“, „Ali“, „Wit“ i „Waldy“ —
Czy kto mały, czy kto wielki —
Niechaj czyta moje „bajdy“,
Hocki-klocki i figielki!
„Burzo“! „Wichrze“, „Zawierucho“!
„Błędny ognik“ — „Pan Twardowski“
Niechaj żadne z Was, Kochani,
Ani jednej nie zna troski!
Hej kochana Ty, „Kraino“,
Bije w Tobie serc tak wiele!
Więc pozdrawiam „Zuch Dziewczynę“,
„Czarodziejkę“ — „Zazę“ — „Pella“!
Wszystkim kłaniam się w „Krainie“!
Wszystkich kocham. To — nie fraszka
Najserdeczniej zaś całuję
Panią Zosię i „Wujaszka“!

„Uśmiech Szatana“.

„RODZINKO“!

Jak Polska długa i szeroka, wszędzie rozbrzmiewa dziś hasło: **SKŁADAJMY NA FUNDUSZ DOZBROJENIA ARMII!** Ojczyzna wzywa do spełnienia obowiązku, obowiązku dla każdego z nas świętego. Nie pozostajmy więc w tyle, lecz okażmy i my nasze dobre chęci niesienia pomocy Ojczyźnie. Cel to naprawdę piękny i choć aż znajdą się wśród nas tacy, którzy już subskrybowali pożyczkę, otwieram niezależnie od tego **ŁAŃCUCH SKŁADKOWY** na dozbrojenie naszej armii z jednoczesną opłatą złotych pięć.

Jestem mocno przekonana, że każdy chętnie pospieszy z ofiarą, dając tyle, ile będzie mógł, a piękny będzie gest tego, który zaofiaruje ponad 5 złotych.

Drodzy „Krainiacy!“ Apeluję dziś do Waszych Serc! Odmówmy sobie kilka drobnych przyjemności. Nie wahajmy się ani chwili. Przecież i nasza „Kraina“ przysłużyć się musi armii! A więc do dzieła, niech nikogo nie zbraknie!

Ofiary przesyłać na konto rozrachunkowe Żnin, blankietem P. K. O. „Moje Powieści“ z zaznaczeniem na odwrocie: „Na łańcuch składkowy dozbrojenia armii“.

Do łańcucha składkowego wzywam następujące „Krainianki“ i „Krainiaków“:

„Zuch Dziewczynę“, „Czarnego Hajduczka“, „Serduszko“, Barcię“, „Bajkę“, „Księżniczkę Henriettę“, „Złoty Dzwoneczek“, „Armeńczyka“, „Zbłąkanego Chłopca“, „Tirna“, „Szydercę“, „Henry'ego“, „Te—Ema“, „Dumkę“. „Samotną Włościankę“, pp. Domagałów, „Milutką Lenę“, „Urana“, „Zairę“ „To—ja“, „Chochlika“, „Takiego jednego“, „Erosa“, Tadeusza Rawickiego, „Marzące Oczy“, „Góraleczkę“, „Samotną Wierzbę na pustkowiu“, „Irusię z Wołynia“ „Wiedźmę z debry“, Gerżabka, „Wirryta“ „Burzę“ „Uśmiech Szatana“, „Wilniankę“, Irkę K. z Poznania, „Krzysię Leśniczankę“, E. P. Siemianowice, „Stepowy Płomień“, „Ferdy'ego“, „Smutną Kazieńkę“, „Starszą Pannę“, „Jutrzenkę“, „Irka“, „Szukającego“, „Córkę Wichru“, M. Grzegorskiego, „Li—Sokolicę“, „Dziewczynkę z zaklętego młyna“, „Yoshimurę“, „Małą Konwalijkę“, „Marzenkę z Ameryki“, „Przybłędę Leśnego“, „Hrabiego Ulsena“, „Jagienkę“, „Nell z Bydgoszczy“, Kazimierza Junoszyca, „Wesołą Tusię spod Grudziądza“, „Małą Zapałeczkę“, „Żymełkę“, „Czarodziejkę“, „Różyczkę“, „Zadziora“, „Niesforną Lulu“, „Smutną Dziewczynkę znad Gopła“, „Uśmiechniętą Wandulkę“, „Tajemniczego Nieznajomego“, „Przedwiośnie“, „Tajnego Detektywa“, „Biały Wrzos“, „Mimozę“, „Wielbicielkę Słońca“ i przede wszystkim Krainiaków z Grodu Lecha“.

„Blanka“.

DOBRE RADY PANI ZOFII

CO BY TO BYŁO!...

„Maleńka Hali“. Wiesz, Droga Moja, ile mam przed sobą kartek, zapisanych Twymi zgrabnymi literkami? Aż 10 — co Ty na to? Zapewne sama nie zdawałaś sobie sprawy z tego, ile piszesz do mnie. Co by to było, gdyby te bite 10 stron były zapisane pismem nieczytelnym i brzydkim — chybabym je czytała na raty, bo inaczej nie dałabym rady. Ale Ty piszesz czytelnie, czysto i w odstępach, że i pismo maszynowe lepiej by nie wypadło.

A teraz omówmy, to co piszesz. Więc twierdzisz, że w dzień Zofii w redakcji będzie specjalnie „kwiatowo?“ Nie wiem — w zeszłym roku było „kwiatowo“, a jak będzie w tym, to bogi pokażą.

Owszem, maj to cudny miesiąc, oby tylko zechciał nie sprawić nam zawodu, a co najważniejsze, aby obdarzył nas hojnie bzami, które są przerozkoszne.

„Karolina — Cesarzowa Meksyku“ kosztuje zł 5. W porządku. Z czym lub co? A no to, że dałaś ten podwójny numer swej koleżance. Nie brakuje Ci już zapewne żadnego num. „Moje Powieści“ wysłano też na podany adres.

Cieszę się, że tak pracujesz nad sobą, że wyrabiasz sobie silną wolę. A co do tej nielubianej przez Ciebie osoby, to radzę Ci mieć tylko dobre chęci, reszta ułoży się samo, jeżeli tak jest sądzone.

Nie, Wujek nie tylko nie śmieje się z Twoich, jak to określiłaś, „gryzmołek“, ale lubi Cię bardzo — bądź pewną!

Powiedz mi, czy poznałaś „Puellę“?

A teraz całuję Cię serdecznie i ślę najpromienniejsze uśmiechy.

„Smutna Tojtana“. Oj, Kochana, co za imię sobie wybrałaś, czy nie mogłabyś zmienić na inne? Żeś smutna, to źle, ale że Tojtana to wcale mi się nie podoba, a może miało być Tatiana? Co do „Uśmiechu Szatana“ masz rację.

Oświadczam Ci „Uśmiechu Szatana“, że pseudo Twe nie podoba mi się „za grosz“. Bo jakże sobie wyobrazić „uśmiechniętego“ władcę piekieł. Nie to już przekracza moje możliwości (myślę o uśmiechu dobrym). A może „Krainiacy“ wypowiedzą się na ten temat? Czytałam wiersz „Żal mi Cię szatanie“. Czy zna go Pani? Na razie pozdrawiam Cię „Uśmiechu“ — i uznanie za wiersze!

„Białą Brzózkę“ pozdrawiam — może szepnie mi jakie „dobre słówko“?

„Biała Uajali“. Jesteś milusia na zdjęciu z „Lordem“ — przyjmij pozdrowienia i uznanie za wierszyki.

Panu J. Baranowskiemu najszczersze słowa uznania za wiersze, takie śliczne. Czy wie Pan, że mam jeden wierszyk Pana z dawien dawna?

„Wiedźma z debry“. Masz być wesoła, a piszesz smutne wiersze, jakże to? Jednym takim wywołałaś bardzo smutne wspomnienia. Wybaczam Ci, ale popraw się.

„Mimoza“. Za milutki wierszyk dla „wujaszka“ i cioteczki“ proszę przyjąć miłe pozdrowienia. Jest Pani miła i kochana!

Pozdrowienia i słowa sympatii załączam dla „Szarego Cienia“, „Szukającego“, „Niepoprawnego Marzyciela“, „Pana ogrodnika“ z Siemianowic, „Bladego Kwiatu“, oraz Jego Hrabiowskiej Mości „Hrabiego Monte Christo“.

Dla „Kazimierza Junoszyca“ i wszystkich, którzy piszą miłe i śliczne wiersze w Krainie, zasyłam wiele pozdrowień i słowa uznania!

Specjalne pozdrowienia dla wszystkich smutnych w „Krainie“. Życzę im, aby ich smutki wywędrowały jak najszybciej za siódmą górę i rzekę i nigdy nie wróciły!

„Zadzior“. Za Wujkiem Januszem przyznaję, że musi być Pan morowym chłopcem, ale nie podoba mi się w wierszyku Pana to „kiwanie łysą głową“ wujcia. Czemu koniecznie nasz kochany Wujek ma być „łysy“? Absolutnie się na to nie zgadzam i protestuję!

Popraw się więc Szanowny „morowy“ panie Aleksandrze i to koniecznie, bo stracisz całkiem moją sympatię za takie „szkalowanie“ Wujka.

„Yoshiwara“. Jakże dziwne i tajemnicze pseudo wybrał Pan sobie. Pozdrawiam Pana najmilej i proszę pozdrowić ode mnie śliczne nasze morze, którego niestety jeszcze nie widziałam, ale mam nadzieję, że może ujrzę kiedy, choć kiedy? Nie wiadomo! Jeżeli ma Pan czas i ochotę, to proszę skrobnąć do mnie, a chętnie odpiszę — adres u p. Zofii“.

DOWIEDZ SIĘ!

„Arleta“. Przyjmuję Cię do naszego grona. Na pytanie odpowiadam, że nie wiem nawet, czy ta osoba należy do „Krainy“. Może spróbujesz sama się dowiedzieć za pomocą komunikatu?

Posyłam Ci przyjazny uśmiech.

Komunikaty: „Nieszczęśliwą Niniusię“ proszę o list. Zdaje się, że będziemy się rozumieć. Na to konto ściskam łapki. „Biała Uajali“ proszę o jaki wiersz dla matki, gdyż moją bardzo kocham i lubię jej w liście pisać wiersze, a sama nie mam czasu pisać i myśleć. Serdecznie pozdrawiam. Reszcie „Krainiaków“ ślę moc uścisków i proszę o listy, a odpowiedź pewna!“

NIE WĄTPIĘ!

„Złotowłosa“. Nie wątpię, że polubię Cię, jak wszystkich innych członków „Rodzinki“ — jesteś przecież taka miła!

Powiedz mi, czy masz siostrę? Dziwnie znajome jest mi Twoje nazwisko, a właściwie cały Twój adres!

Przyjmij moje pozdrowienia.

Komunikaty:

„Przedwiośnie“. Podobasz mi się. Całuję!

„Te - Em“. Może napiszesz do „Złotowłosej“. Pozdrawiam!

„Belfer“. Czy jesteś postrachem uczniów, czy takim kochanym „belfrem“. Napisz!

„Szukający“. Chciałabym pomóc w szukaniu... Zgoda?

Wszystkich „po fachu“ z amarantowymi, czy niebieskimi wypustkami bardzo serdecznie pozdrawiam.

Całej „Rodzince“ uśmiechy!“

ALBO... ALBO...

„Jadwiga Limba“. Sporo pytań zadałaś mi, Droga Przyjaciółko! A ponieważ postawiłaś je w tonie tak dalece zdecydowanym, że aż wygląda na imperatywny, więc moja „dyktatorska“ mość musi albo skazać Cię na jakieś doraźne kary, albo też uznać Twoje rodzinne prawa (jako w tym wypadku członka „Rodzinki“, a nie „Państwa krainiackiego“).

Wolę naturalnie przychylić się do tego drugiego, wobec czego spieszę z kolejną odpowiedzią na te pytania.

1) O autorce, o którą pytasz, wiadomo mi tyle, że nazywa się Anda Eker, umarła młodo, pozostawiwszy po sobie kilka książek dla dzieci i tomik poezji. Twórczość jej rzeczywiście subtelna i liryczna może byłaby znalazła uznanie, gdyby nie fakt szybkiej śmierci. Gruźlica dokonała dzieła zniszczenia i złamała lutnię tak wymowną i wdzięczną.

2) Domysły Pani, co do mej osoby, są słuszne. Na wyraźne Pani życzenie podaje tytuły kilku innych „popełnionych“ prac, przy czym zaznaczam, że napisałam je tak, ot sobie, bo właściwie nie silę się na wzbogacenie literatury pięknej własnymi tworzywami. Moja praca polega na kompletowaniu materiału do naszego tygodnika, dbałości o jego szatę zewnętrzną, redagowaniu aktualnych artykułów, felietonów, załatwianiu odpowiedzi do „Krainy“ itp.

Tytuły nowel w „Moich Powieściach“: „Bazie“, „Kartka z pamiętnika“, „Wojtek Gęgała“, „Pszczoły ks. Dobrodzieja“.

Artykułów itp. nie będę podawała — czytałaś je nie raz.

3) Tak, Wujek Janusz tak się nazywa i jest autorem licznych artykułów w naszym tygodniku.

4) Na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi.

5) Zgadzam się z tym, co mówisz o „zainteresowaniach „Krainy“ i skłonna jestem zaakceptować Twój projekt w sprawie konkursu, ale dla porządku podaję Ci, że był już podobny konkurs — przysporzył niesłychanie pracy, a wynik był mizerny. Niemniej spróbuję znowu, tylko niech wpierw skończy się zapoczątkowany co dopiero łańcuch zbiórki na dozbrojenie armii.

6) Wierszyk zamieściłam.

7) Czy nie miałaś jeszcze odpowiedzi Wujka Janusza w Teczce? Mnie się zdaje, że tak.

8) Komunikaty zamieszczam wszystkie, ale zaznaczam, że jeżeli będziecie zawsze dawali ich tak dużo, jak ostatnimi czasy, to o żadnym konkursie nie będzie można myśleć, bo gdzie będę drukowała najlepsze prace itd. Powiedz — gdzie?

Pozdrawiam Cię serdecznym uściskiem dłoni i proszę o podobne — rzeczowe i rozumne — listy!

Komunikaty Jadwigi Limby.

Drogiej „Lucet“ — mojej najmilszej korespondentce - przyjaciółce — ślę na łamach „Krainy“ dużo serdecznych i szczerych pozdrowień i życzeń.

„Smutna Mariola“ i „Bursztynowe Serduszko“ — dziękuję za słowa uznania dla moich poetyckich „wyrobów“. Owszem, w moich przyszłych „tworach“ będę o Was pamiętała, milutkie moje Dziewczynki.

„Paddy incognito“ — dziękuję za pochwalne słowo!

„Safo“. Czy mogę się dowiedzieć, której powieści jest Pani autorką? Chociaż jestem tylko domorosłą — „koszykową“ literatką — jednak chciałabym pogwarzyć z Panią, choćby na łamach „Krainy“. Życzę dużo „literackiego“ natchnienia.

„Halina Czarska“ i „To - ja“. Poetki! — przyjmijcie słowa uznania od — „wierszokletki“. Wasze wierszyki są prawdziwymi klejnocikami.

„Ta — joj ze Lwowa“, dziękuję za dodanie mi otuchy. Właściwie nie należę do gatunku „cierpiątek“, posiadam sporą dozę humoru — czasem tylko w chwilach duchowej depresji klecę „rozpaczne“ rymy... Może napiszesz coś o Lwowie — kochana „Ta - joj“, bo do Lwowa czuję dziwny sentyment.

„Anta - Nina“. Popieram również gorąco Pani wniosek. Wszyscy pragniemy zobaczyć w „Krainie“ drogie nam oblicza — Pani Zofii i Wujka Janusza. Pani Zofia nie zgadza się na ten projekt? Od czegośmy „Krainiacy“? Zróbmy zbiorowy protest!!! Pod protestem najmniej 10 tysięcy „krainiackich“ podpisów... Nie pomoże protest, urządźmy — strajk generalny! A wtedy na pewno pewnej pięknej soboty ujrzymy w „Krainie“ jasną twarz P. Zofii, zaś w „Teczce“ lekko skrzywiona od ciągłych krytyk twarz — Wujka Janusza.

A więc do czynu!

„Zabłąkany chłopiec“, czy to o ten utwór (wiersz) pt. „Szczęście“ (zamieszczony w nr 1 w „Teczce“ bez podpisu.) Pan pytał? Proszę przyjąć od autorki życzenia prawdziwego, realnego Szczęścia...

„Jeden ze wsi“. Przeglądając zeszłoroczną „Krainę“, natrafiłam na Pański apel. Zainteresował mnie bardzo! Ciekawam w jakiej to okolicy Krakowa Pan mieszka i z której górskiej wsi pochodzi? Ja jestem również „Jedną ze wsi“, mieszkam w Zagłębiu Krak., pochodzę z jednej z podgórskich wiosek. Proszę o parę słów!

„Samotny S.“ Czy korespondencja z nadobną częścią „Krainy“ nie rozproszyła Pańskiej samotności?

„Gladiatorze“! Twoje wiersze są piękne! Przypadł mi do serca najbardziej „Post scriptum“.

Pozdrawiam mile „Niemłodą“, „Cierniową dolę“, „Gwiazdkę“ i wszystkich, których nikt nie pozdrawia!!!

GDZIE PROPORCJA?...

„Zaza“. Ja też się cieszę. A z czego? Z Twego oświadczenia, że poprawiłam się w odpowiedziach i nie dają już Wam na nie zbyt długo czekać.

Możesz mi wierzyć, że nie kazałabym Wam wcale czekać, gdyby to było możliwe.

Drugie Twoje spostrzeżenie też zgadza się z prawdą — „Rodzinka“ powiększyła się ostatnio ogromnie i stale jeszcze wzrasta.

Nie, powiększać „Krainy“ już nie będziemy — jest to niemożliwe choćby dlatego, że ja nie zdążyłabym od numeru do numeru załatwić większej ilości listów. Niech się Wam nie zdaje, że te listy nie wymagają pracy i czasu! Policz na przykład, Droga „Zazo“, ilość odpowiedzi w „Krainie“ a przekonasz się, że jest ich zawsze od 35—45. Aby 35 listów przeczytać, przemyśleć i dać na nie odpowiedź, a ponadto załatwić szereg innych spraw, związanych z wydaniem każdego poszczególnego numeru — aby to wszystko załatwić, trzeba mieć na to kilka dni. Czy nie uważasz? Pomyśl, ile ty piszesz listów dziennie i znajdź tu proporcję!...

Cieszy mnie, że humor dopisuje Ci ostatnimi czasy. Zdaje się, że sporo zasługi ma w tym „Smutna i brzydka Irka“ — co? Obie jesteście przemiłe.

Pa! Bądź mi wesoła i pisz!

„Biała Uajali“. Czy mieszkasz niedaleko Ciechanowa? O ile tak, to bardzo chętnie Cię odwiedzę, tylko podaj mi miejscowość! Może skrobniesz kilka słów do mnie? Serdecznie Cię pozdrawiam i radzę nie poddawać się rozpaczy.

„Tyran“. Jak wnioskuję z Twoich komunikatów, jesteś dość złośliwy, choć robisz to z humorem. Miej się na baczności i nie „zjeżdżaj“ tak wszystkich „Krainianek“, bo jak się zbuntują, to marne będzie Twoje życie.

„Smutna i brzydka Irka“. Radzę Ci zastosować receptę „Tyrana“, a na pewno... rozbijesz sobie głowę przy tych skokach przez jednopiętrowe domki.

„Marzyciel Mulforda“. Czy znalazł już Pan swój „odpowiednik“ w „Krainie“? O ile nie, to życzę Panu, aby te poszukiwania nie były bezowocne.

„S. 13“. Bardzo się ucieszę, gdy mnie odwiedzisz, ale kiedy to nastąpi? Jak Ci się wiedzie w Warszawie? Pozdrawiam Cię serdecznie.

„Samotny S“. Może miałby Pan ochotę na wymianę myśli ze mną? Proszę napisać pierwszy, a na pewno odpowiem. Adres u p. Zosi. Tymczasem ślę Panu milutkie „pa“.

Słowa uznania za piękne wiersze zasyłam: pp. J. Baranowskiemu, „Białej Uajali“, „To-ja“, Eleonorze Klidzi za wiersz „Śmiej się pajacu“ i „Kazimierzowi Junoszycowi“.

Całą „Krainkę“ pozdrawiam“.

CO BĘDZIE?...

„Wiedźma z debry“. Dziecino, Twój list z marca jest tak napisany, że nie wiem, kto miał odpowiedzieć, — Wujek Janusz, czy ja. Ponieważ Wujek zajęty jest właśnie przygotowywaniem materiału do „Teczki“, więc odpowiem ja na oba listy. Otóż jęczysz w tym liście na różne sposoby i tony. „Ih... ich... oj... joj... u...“ — unoszą się pająki nad dowcipnym rysunkiem czarownicy lecącej wraz z groźnym kocurem na straszliwej miotle i mrożą krew we mnie oraz napełniają przejmującą obawę moje biedne serce. Co będzie, gdy straszliwa ta wiedźma doleci tu do nas do Żnina?!... Zwłaszcza, że wiedźmisko jest mocno rozgoryczone i wylewa potoki krokodylowych łez. Co będzie?...

Lecz nim nastąpi to straszne, niech mi wolno będzie porozmawiać z Tobą, jak zwykłe, pogodnie i miło.

Naturalnie, że możesz ze mną mówić o wszystkich swoich spostrzeżeniach, refleksjach itp. Ponadto chciałabym abyś mi doniosła, jaką szkołę ukończyłaś, gdzie i jak długo pracowałaś i co umiesz. Każdy człowiek ma jakieś specjalniejsze zdolności i zamiłowania — Ty masz, jakie? Może przecież uda nam się przy pomocy „Rodzinki“ znaleźć dla Ciebie jakąś pracę. Wiemy, że „Rodzinka“ nieraz już okazała pozytywnie, że umie zadbać o swoich członków, dlaczego by i Twoim losem nie mogła się zająć gorąco!...

Pozdrawiam Cię serdecznym uściskiem i proszę nie przejmować się i nie poddawać przeciwnościom!

Komunikaty:

Sympatyczne „Krainianki“: „Młoda Lublinianko“ i „Aneri“ — zdecydujcie się Wy, ja chętnie odpowiem.

„Zadzior“. Halo! może się pokłócimy o łysinę Wuja Janusza, dlatego, że jestem przeciwnego zdania co do niej.

„Nell z Bydgoszczy“. Popieram Twój plan, tylko należy go zreformować. Klasztor urządzić nowocześnie!

„Tyran“. Prośbę spełnię!

Całej „Krainie“ serdeczności!“

WSZYSCY ZA PRZYKŁADEM TWOIM!!

„Blanka“. Dziecino, wzruszyłaś mnie niewymownie nie tylko faktem złożenia datku na dozbrojenie naszej armii, ale przede wszystkim tym, że wpadłaś na myśl zapoczątkowania łańcucha składkowego. Słowa w jakich zwróciłaś się do mnie o akceptację tego pomysłu, pozwalam sobie przedrukować poniżej, bo nie chcę, abym ja tylko je znała. Niech cała „Rodzinka“ dowie się jakiego gorącego orędownika spraw bezpieczeństwa naszego kraju i jak głęboko patriotyczne serce ma w swoim gronie.

Co do mnie, to mogłam jedynie z radością przyklasnąć Twojemu projektowi. A radość ta jest tym większa, że niecierpliwie oczekiwałam podobnego apelu, przecież mogłam się tego po Was spodziewać, a z drugiej strony sama nie mogłam wychodzić z inicjatywą.

Dziękuję Ci przeto, Dziecko, Drogie, za zrozumienie tego moralnego obowiązku obywatelskiego i akt ofiarności oraz nie wątpię, że wszyscy członkowie „Krainy“ pójdą za Twoim dobrym przykładem.

A teraz przedrukowuję Twoje słowa!

„Droga Pani Zosiu! Pewnego dnia zrodziła się w głowie mej piękna myśl, którą chciałabym zrealizować przy pomocy Pani. Otóż pragnęłabym, by i nasza „Kraina“ przysłużyła się w pewnej mierze Ojczyźnie i w tym celu chciałabym zapoczątkować łańcuch składkowy na dozbrojenie naszej armii w wysokości 5 zł. i wezwać całą kraniacką rodzinkę, by szła w moje ślady.

Mam wrażenie, że od tak licznego grona „Krainiaków“ zbierze się na pewno ładna sumka. Rozumie się, że nie wszyscy będą mogli dać 5 zł., ale znajdą się i tacy, co nawet dadzą ode mnie więcej“.

HALO! HALO!

Halo! „Step“! „Sąsiadka“ bardzo serdecznie dziękuję. Przekonał mnie Pan, lecz tylko połowicznie. Zapraszam Pana więc do dyskusji listownej i oczekuję listu od Niego, przesyłam miłe pozdrowienia.

POZDROWIENIE Z ITALII

„Smutna dziewczynka znad Gopła“ przesyła całej „Rodzince“ serdeczności z podróży po słonecznej Italii.

CZY CHWILOWY ZŁY NASTRÓJ?

„Królowa Gizella“. Nie, Dziecko Drogie, nie zgadłaś! Ani nie jestem żoną Wujka Janusza, ani naszego wydawcy. Czy nie możesz, sobie wykombinować, że w tak wielkim wydawnictwie, jak nasze, pracuje więcej niż jedna redaktorka i jeden redaktor? Otóż dowiedz się, że pracuje nas kilka redaktorek i sporo panów redaktorów, a ponadto mamy cały sztab pracowników wszelakiego rodzaju i autoramentu.

Przykro mi dowiadywać się, że znowu masz złe samopoczucie — Czyż nie rozjaśnisz się nigdy na stałe? A może piszesz tylko zawsze do mnie pod wpływem chwilowego złego nastroju? Z dwojga złego, oby już było to mniejsze!

Oczekuję z kolei listu, który będzie wyrazem Twej wewnętrznej pogody — czy się doczekam?

Całuję Cię i zamieszczam komunikaty:

„Łobuzie w spódnicy“! Ślicznie wyglądasz, Hanuś, na tym zdjęciu. Dziękuję Ci również za ten miły prezent imieninowy. Śliczny! Pozdrawiam Cię serdecznie.

„Maleńka Hali“. Zapytuję o powód milczenia, ale zarazem przesyłam uśmiech wiosny.

Również serdecznie pozdrawiam: „Erosa“, „Aliego“, „Waldego“, „Obserwatora I“. Tego ostatniego zapytuję o powód milczenia. Czyżby mój list nie zasługiwał na odpowiedź?

„Serce Śląskie“. Zdaje się, że znam Pana. Jest Pan J. J. z Ch. — czy tak? Pozdrawiam Pana.

Dla „Yoshimury“ serdeczny uścisk dłoni.

„Tyran“. Jest Pan prawdziwym tyranem. Na odpowiedź musi Pan jakiś czas poczekać, gdyż na razie brak mi słów. Nie zrozumiał mnie Pan“.

GDYBY...

„Przeklęta Iwa“. Dziecko moje najdroższe! Pisz mi o sobie bardzo dużo. Jesteś mi niesłychanie drogą i boli mnie każde Twoje niepowodzenie. Gdyby to zależało ode mnie i gdyby w mojej było mocy — rzuciłabym Ci wielkie życiowe zwycięstwa w ramiona, abyś już nigdy nie była smutna i nigdy nie wiedziała, co znaczy obawa... Wiesz o czym myślę — prawda?

Niestety, nie mam sił nadprzyrodzonych i nie umiem rozkazywać losom. Jednakże mogę zawsze współczuć i zawsze słać poczciwą radę, a taką radą jest prośba, abyś zechciała nie tracić pogody. Postaraj się, kochanie!

„Blady Płomień“. Z przyjemnością będę rozmawiać, choćby przez 7 lat. Za serce płacę sercem.

„Jadwiga Limba“, do duszy przemawiasz swoimi wierszami.

„Donia“. Maleńka Doniu, zwróciłam uwagę na Twój pseudonim, jest taki miły, wiośniany — zapewne, jak Ty.

„Słowianko“. Czemu milczysz? Czy jesteś w „Krainie“?

„Safo“. Winna jednotorowość.

„Zaira“. Jesteś mi pokrewna duchem.

„Błędny Ognik“. Jeśli to Panu sprawi przyjemność, adres w redakcji.

WSZYSTKO BĘDZIE, JAK JEST!

„Taka sobie Halina“. Naturalnie, Dziecino, że lepiej Ci będzie pójść dentystykę i ja bardzo pochwalam ten zamiar. Tylko dbaj o zdrowie, bo trudno Ci będzie uzyskać świadectwo lekarskie orzekające zdolność do podjęcia studiów.

Dziecino, sprawa mego odpowiadania na Wasze listy już załatwiona — był to tylko luźny projekt, a ponieważ nie został przez Was zaakceptowany, więc upadł niejako automatycznie. Zresztą sama „Safo“ pierwsza zgłosiła tu swój protest.

Co zaś do Twoich nowych projektów, to one również są nierealne — wszystko musi zostać po staremu. Całuję Cię i pisz!

„Kalina“ Marysieńko! Nie gniewaj się, Kochanie. Naprawdę w tych dniach napiszę. Wszelkie wykręty podam w liście, wytłumaczę się i usprawiedliwię doskonale. Całuję Cię mocno, dziękując za wierszyk. Ktoś „kogoś“ mocno bujnął. (fotografia).

„Przybłęda Leśny“. Podziwiam Twe amerykańskie zaiste tempo. Czego, wiesz chyba i przypuszczam, że nie potrzebuję tego dokładnie wyjaśniać. Uśmiechnij się!

„Tyran“. Podoba mi się Twój sposób na kurację odtłuszczającą. Jesteś miły i wesoły.

„Wiedźma z debry“. Bardzo chciałabym z Panią korespondować. Proszę dać znak.

„Pell“. Jak mogłeś naszą wspólną znajomą „Kluseczką“ nazwać. Wstydź się mocno. Ty rycerzu na stalowym rumaku. Pozdrawiam P., życzę szczerej i prawdziwej skruchy.

„Niesforna Lulu“. Dziękuję, całus odwzajemniam i napiszę“.

Baczność! „Krainiaków“ w mundurze wzywam do apelu, jako że uwielbiam mundury. Spocznij! Czekam. Całej „Krainie“ wesoły, słoneczny uśmiech“.

NIE PODDAWAĆ SIĘ!...

„Donia“. Spodziewam się, że w Twoim ogródku zakwitają coraz to nowe kwiaty np. tulipany, a potem narcyzy, bo śnieżyczki i przylaszczki kończą już swój krótki żywot.

Nie zamieszczę swego zdjęcia, bo przyznaję słuszność tym członkom „Rodzinki“, którzy wypowiadają swój sprzeciw. A trzeba Ci wiedzieć, że jest ich sporo.

Proszę Cię, nie poddawaj się zniechęceniu i smutkom, bo to do niczego nie prowadzi, a tylko zachwaszcza brzydkim zielskiem duszę. Masz być radosna i jasna — masz taką być i basta!

„Alfa Andron“. To nic, żem starsza, nawet przeciwnie, dlatego pierwsza powinnam list otrzymać. Czekam.

„Pell“. Wcale nie jestem „cicza“. A jeżeli prosiłam o list, to dlatego, by go otrzymać pierwsza, a nie, by czekać, aż mi Pan pozwoli do Siebie napisać. O list jeszcze raz proszę i śliczne pa załączam.

„Ejgo-Ejgo“... Chcę trochę radości, więc proszę o słów kilka.

„Borsuk z Łysogór“. Zainteresowałam się Panem. Czy mogę oczekiwać listu? Adres u Pani Zofii.

Całą „Krainę“ pozdrawiam.

ŻYCIE JEST PIĘKNE!

„Altruista“. Przyjmuję Pana do „Krainy“. Dlaczego to pragnie Pan przede wszystkim korespondować z wielbicielami smutnej poezji? Czy tylko smutek i melancholię myśli Pan pielęgnować? Ja radziłabym jednak nastawić się raczej na weselsze tony. Życie jest piękne i nie należy przesłaniać jego piękna nierealnym smutkiem.

Prace Pana oddałam Wujkowi Januszowi do teczki.

Łączę miłe pozdrowienia i przechodzę do komunikatów:

„Mary“, „Gwiazdce“, „Frasquicie“, „Barci“ „Smutnej Marioli“, „Samotnej Duszy“ oraz autorkom pięknych wierszy: „Jadwidze Limbie“, Zofii Boruckiej, Tor-ja, St. Roslewskiej i „Wiedźmie z debry“ zasyłam osobne pozdrowienia i wyrazy szczerej sympatii. Może która z wym. Pań zechciałaby do mnie napisać? — Odpowiedź pewna.

Całą „Krainę“ serdecznie pozdrawiam i proszę o pamięć!“

PRACA JEST OSŁODĄ ŻYCIA

„Stefcia“ i „Lucia“. Tak, Dzieciny, mam sporo pracy, ale z drugiej strony któż jej nie ma?!... Praca, podług mnie, jest osłodą życia — więc też cieszę się, gdy jej mam dużo. A i Wy zdaje się, nie lubicie się lenić, przeciwnie, obie chętnie wykonujecie, co do Was należy.

Posyłam Wam serdeczny uśmiech i zamieszczam komunikaty:

„Kalina“. Posyłamy Ci serdeczności.

„Nell z Bydgoszczy“. W tym roku będę w Bydgoszczy w Zielone Świątki na zjeździe śpiewackim, może się zobaczymy i poznamy osobiście — zgodzisz się na to?

„Milusia II“! Czy przypominasz sobie „Stefcię“, jak Ci się na ogół podobała? Serdecznie pozdrawiam. Dlaczego tak mało zaglądasz do „Krainy“?

„Amerykaninie“! Ktoś Ty! Piszesz, że mieszkamy niedaleko od siebie. Czy wolno wiedzieć, gdzie? Ślę serdeczny uścisk dłoni.

„Młody Orzeł“. Dziękuję za pozdrowienia i serdecznie odwzajemniam. Masz ogromne powodzenie wśród „Krainianek“. Pewnie dumny z tego jesteś, prawda?

„Pell“. Nie jestem p. Anną P., owszem mieszkam w Gr. i z widzenia znam Pana.

„Yoshimura“. Czy nie otrzymałeś listu od „Stefci“? Jeśli tak, dlaczegoś nie odpisał? To niegrzecznie. W Gdyni będę na Kongresie Eucharystycznym, który odbędzie się w czerwcu, może zobaczymy się co? Daj odpowiedź. „Stefcia“.

„Kujawiak“! Mieszkam w Gr. jeśli Ci przyjemność sprawi napisać do mnie liścik, proszę. A ja zrewanżuję się. Ślę moc serdeczności.

„Zbłąkany Chłopiec“! Twoje foto-oblicze podoba mi się. Skrobnij do mnie liścik, jeśli łaska. Wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“ serdeczności! „Lucia“.

JAK ŻYJESZ?

„Cierniowa Dola“. Sprawę, zleconą mi przez Panią, załatwiłam. Komunikaty zamieszczam poniżej.

Proszę powiedzieć mi, jak czuje się Pani w ostatnich czasach i jak układa się Jej życie domowe? Ponadto pragnę dowiedzieć się, czy utrzymuje Pani stały kontakt korespondencyjny z kimś z „Krainy“!

Łączę słowa serdecznych pozdrowień i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Panie: „Szczęśliwa żona“, „Niemłoda“, „Uśmiech szatana“, „Barcia“, „Maleńka Li-Lea“ i „Irusia z Wołynia“ — gorąco pragnęłabym z Wami korespondować. Jestem obarczona stekiem trosk, zrobiłybyście mi zatem wiele przyjemności. Byłabym bezgranicznie wdzięczna!

Mam lat trzydzieści skończonych. Jak duszą, tak wyglądem jestem młodą tylko mocno zgnębioną przez życie.

Listy proszę przesyłać na ręce Pani Zofii. Po otrzymaniu, podam adres bezpośredni. Ponieważ nie zawsze mogę czytać „Moje Pow.“, przeto odpowiedzi w komunikatach nie będę mogła otrzymać. Pani „Irusi z Wołynia“ przesyłam słowa szczerego uznania za Jej poezje, a zwłaszcza za wiersz pod tyt. „Karnawał“.

NIE PRZEJMOWAĆ SIĘ NAPRZÓD!

„Dziewczynka z zaklętego młyna“. Oj, to był przykry i niebezpieczny wypadek — szczęście, że skończył się dobrze.

O wojnie nie myśl — zło, gdy nadejdzie, zawsze jeszcze naszarpie nam nerwów, po co więc przejmować się nim naprzód.

Naturalnie, że mogłabyś się zaciągnąć w szeregi ochotnicze — przypuszczam, że jesteś fizycznie odporna na trudy.

Oczywiście, że „Moje Powieści“ wychodziłyby, jak zwykle.

Wierszyk oddałam Wujkowi do oceny. Miło było mi przeczytać, że tak bardzo podobają się „Moje Powieści“ Tobie i Twemu Tatusiowi. I niewątpliwie przyłożę starań, aby i nadal się Państwu podobały.

Całuję Cię!

Komunikaty: Pozdrawiam serdecznie „Rowerzystkę z Pomorza“, „Banialukę“, „Zosię“, „Samotną Blondyneczkę“, „Siboney“, „Szatynkę z Podlasia“, „Koralowe usta“, „Młody Las“, „Wesołą Pomorzankę“, „Paddy incognito“, Panią K. Skąpską i p. Szyszkową.

„Przedwiośnie“. Czy zgadzasz się na wspólną wymianę myśli? Odpowiedz! Ślę Ci wiosenny uśmiech!

K. Junoszyc. W Twoich wierszach odczuwa się przedwczesną starość — dlaczego? Masz dopiero 21-szy rok. Wybacz za to plotkarstwo na łamach „Krainy“. Pozdrawiam!

„Tyran“. Pana pseudonim nie licuje z Twoim charakterem, no, bo cóż, mogą obchodzić „Tyrana“ czyjeś smutki i bóle? Owszem, jak umrę, zaproszę Ciebie na konsolację. Byłam bardzo chora i dlatego myślałam o śmierci, ale teraz, uśmiecham się, a nawet i do Ciebie, okrutny „Tyranie“.

„Tajemniczy Nieznajomy“. Zaciekawiasz mnie mocno, ktoś Ty? I skąd znasz „K. Junoszyca“? Może i mnie też znasz?

Pierwsza jednak do Ciebie nie napiszę, pozdrawiam Cię!

Całej „Krainie“ ślę prześliczne wiosenne uśmiechy!“

BĘDĘ CIERPLIWA!

„Żymełka“. Numery zleciłam przesłać na Twój adres. Sądzę, że je już otrzymałaś.

Za pozdrowienia uprzejmie dziękuję i odwzajemniam je z całą serdecznością.

Listu oczekiwać będę cierpliwie. Pa!

KOMUNIKATY „ŁOBUZA W SPÓDNICY"

„Samotny - Chorzów I". Dziękuję za liścik, lecz korespondencji nie podejmę. Łączę pozdrowienia!

„Biały puszek". Nie, nie jestem z Nakła tylko z innego krańca Polski. Lecz to nie przeszkadza mi milusio Cię pozdrowić!

„Zrównoważony Jaś". Czemuż nie odzywasz się w „Krainie". Znam Ciebie i to nawet bardzo dobrze! Ciekawyś kto jestem? Zgaduj, zgaduj zgadulo?

„Królowo Gizello"! Moc serdeczności i całusów przyjmij od kochającej Cię zawsze jednakowo Hanki.

„Tajny Detektywie"! Jesteś morowym korespondentem! Przyjm bukiet wiosennych pozdrowień od Hanki. Poza tym dla całej „Krainy" słoneczne uśmiechy.

„Łobuz w spódnicy".

KURS W DALKACH

„Latona". Przyjmuję Cię, Dziecko, do naszego grona z serdecznym życzeniem, aby Ci w nim było dobrze.

Pisz często, zawsze Cię chętnie wysłucham i może dodam otuchy, której Ci na razie potrzeba.

Posyłam Ci jasny uśmiech i zamieszczam Twoje komunikaty

„Halo! Bardzo pragnę nawiązać korespondencję z kimś z okolic Gniezna, Dalek, gdyż od maja rozpoczynam czteromiesięczny kurs w Uniwersytecie Ludowym w Dalkach. Bardzo byłoby mi przyjemnie znaleźć tam bratnią duszę.

Pozdrawiam całą „Rodzinkę" i polecam się jej pamięci.

TECZKA wuja Janusza

REDAKTOR

Taki pan zazwyczaj sobie siedzi,
Przy swym biurku, albo przy stoliku,
No i wszystkim „sypie" odpowiedzi:
„Bardzo słabe... Nie pójdzie.. W „koszyku"...

Ma przed sobą listów różnych setki,
Które nerwy „szarpać" też potrafią,
Piszą młodzi poeci, poetki,
Często u nich „krucho" z ortografią...

Pan redaktor ma wiele kłopotu,
Nim odpowie wszystkim na pytania,
Wciąż ociera sobie czoło z potu,
Ręka boli od nadwyrężania...

Jedni piszą o wielkiej miłości,
Drudzy, jak to w maju kwitną kwiaty,
A redaktor wciąż się tylko złości,
Bo to przecież są stare tematy...

Czasem delikatnie krytykuje,
Lub śle słowa szczere, zrozumiane:
„Niech pan dużo nad sobą pracuje",
„Wiersze pani są zbyt oklepane"...

A gdy jakiś wiersz mu odpowiada,
Humor wraca lotem błyskawicy
I do „teczki" go już nie odkłada,
A zamieszcza na pierwszej stronicy!...

Mieczysław Grzegorski.

REDAKCJA NIEZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA!

„Uśmiech Szatana". Tym razem wszystkie wiersze okazały się dobrymi do druku. Najładniejszy, to „Zmartwychwstań Chryste"... szkoda tylko, że utwór ten muszę odłożyć do teczki i dopiero na przyszły rok wydrukować. Wiersze radzę Pani pisać w dwóch odbitkach, gdyż redakcja nasza niezamówionych i mało ważnych rękopisów, nie zwraca. Na zakończenie proszę przyjąć ode mnie dobry uśmiech i uścisk dłoni.

CHWILA

Jako rozwiązanie „Prima-Aprilisu" — P. Tadeuszowi S-kiemu z Warszawy —

Na drodze życia — pełnej przemijań,
Spotkałam Twoje oczy...
I wyczytałam z nich myśli tyle...
Dziś wszystko ginie w ciemnej pomroce.

Znam Cię od dawna! Znam od prabytu!
...Miniona chwila ginie w przestrzeni —
Odeszłeś „jutro" życia powitać,
A mego „dzisiaj" nic już nie zmieni!

— Może ci trudno będzie zrozumieć,
Że ktoś o tobie myśli dzień każdy?
I że zapomnieć chwili nie umie....
Lecz winne temu — wyroków gwiazdy!

— Może ci trudno będzie uwierzyć
Słowom płynącym, hen z oddalenia?
Mówię tak prosto, mówię najszczerzej:
Tę chwilę dało mi — przeznaczenie!

Ty ją zagubisz w rozgwarze ulic —
Ty w kolorowym ją stracisz tłumie,
A ja tą chwilą serce utulę!
Ja zapominać nie chcę! Nie umiem!

St. Roslewska.

BURA

„Dziewczynka z zaklętego młyna". Na samym wstępie bura: dlaczego „Dziewczynka" przesłała wiersze pisane po obu stronach papieru? Czyżby już zapomniała, że bardzo ważnym kanonem, przy przepisywaniu utworów do druku — jest umieszczanie ich tylko po jednej stronie arkusza? Oj, „Dziewczynko", jak mi przykro, że muszę znowu burczeć!

Nowela — niedojrzała jeszcze do druku! Musi Pani czytać dużo dobrych książek i popracować jeszcze rzetelnie nad wyrobieniem dobrego stylu. Wiersze, jak zwykle, posiadają piękne myśli, ale nadal grzeszą różnymi usterkami. Za najmożliwszy uznałem: „Tęsknotę" i ten też zamieszczam dzisiaj w „Teczce".

Komunikaty przedrukowuję niżej i czekam cierpliwie na nowy znak!

„Siboney"! Całuję Twoje „czekoladowe" usteczka. Mam ochotę nawiązać z Tobą korespondencję — napisz!

„Przedwiośnie"! Kochana, Smutna Dziewczyno! Dziękuję Ci za pozdrowienia i łączę się z Tobą bratnimi myślami!

„Tajemniczy Nieznajomy"! Zaciekawiasz mnie! Skąd znasz K. Junoszycę? To i mnie może znasz? Odwzajemniam pozdrowienia, a co do korespondencji, to, niestety, nigdy, pierwsza nie piszę do mężczyzn. Co zatem uczynisz? — ciekawam!

„Młody Lesie"! Napisz do mnie, a chętnie odpowiem i zaprzyjaźnię się z Tobą. Adres mój znajdziesz w numerze 7 br. Pozdrawiam Cię serdecznie!

TĘSKNOTA!

Często pytają mnie ludzie —
Czemu tak smutne mam oczy,
Czemu się szczęściem nie łudzę,
I czemu ból ze mną kroczy?

Czemu, jak czynią wciąż inni —
Wesoło nie śpiewam sobie,
A tylko z miną tragiczną —
Tak wcześnie myślę o grobie?...

Więc mówię im zwykle szczerze
Że serce moje tak mota —
Ten głuchy ból i cichutka —
Za szczęściem wielkim — tęsknota!

Helena Justyńska.

NIE WIEM...

„Szara Fala". Wierzę, że zdążyła już Pani powrócić z Gdyni i będzie mogła przeczytać moją odpowiedź, a także przejrzeć brakujący numer „Moich Powieści", który poleciłem wysłać. Za życzenia świąteczne jak najuprzejmiej dziękuję i od razu przystępuje do omówienia sprawy nadesłanych wierszy:

Do druku przeznaczam tylko „Zachód słońca". Resztę wierszy — likwiduję, bo opracowała je Pani bardzo niedbale. Nie wiem, czy to podziałała tak nieszczęśliwie na Panią przedświąteczna, rozgorączkowana atmosfera, czy też ta radosna, bliska nadzieja wyjazdu do Gdyni, dość, że tym razem muszę być surowszym dla Pani i zamiast słów uznania, przysłać Jej słowa krytyki i niezadowolenia. Przekonany jednak jestem, że to dodatnio wpłynie na Panią i zdziała, że następna przesyłka da mi już maksimum zadowolenia. W tej myśli przesyłam Pani moc jak najserdeczniejszych pozdrowień.

Z ZACHODEM SŁOŃCA...

Wolno się dzień rozpływa,
W pomroce szarej bez końca...
I smutek w radość upływa,
Z wieczornym zachodem słońca.

Idę wąziutką ścieżyną,
Wpatrzona w szkarłatne pręgi
Troski wraz z dniem szarym giną,
Życie zatacza barw kręgi...

W wieczornej zorzy zadumie
Rozpływa się moja dusza
Łuną tęczowej zorzy,
Rozlewa się we mnie cisza.

Ta cisza w szept rozmodlona,
Radości tchem gorejąca,
Spowiła uśmiech nadziei,
Wieczornym zachodem słońca.

Napływa gwiazd srebrna droga,
Purpury wspomnieniem gasną,
Czuję, że cisza ta błoga —
Będzie już moją własną.

„Szara Fala".

WIERSZE UKAŻĄ SIĘ NA PEWNO!

P. M. G. — S. Drogi Panie, wiersze, które przyrzekłem wydrukować — ukażą się na pewno! Terminu, niestety, podać nie mogę, gdyż teczka redakcyjna, gromadzącą utwory wierszowane, przybiera wprost niesamowite rozmiary. Zatem... monit Pana jest zupełnie zbyteczny — utwory muszą być drukowane kolejno i z zachowaniem w tym względzie pewnej sprawiedliwości.

„Pogotowie ratunkowe" i „Sąd Boży" — nie pójdą! Resztę wierszy odkładam do teczki i wyrażam Panu za nie pełne uznanie. Łączę przyjazny uścisk dłoni!

KTO WIE!...

„Smutnooki Jasio". W utworach swoich kieruje się Pan nadzwyczaj szlachetnymi intencjami, niestety, nie zachowuje dobrego rytmu i przy tym miejscami nieudolnie się wyraża. Np. takie zdania: „spod chłopskiego sioła, trumnę zbitą z desek, kiejby dziadowską kiesę, poniesie ku smentarzu" — „z bolesnym spazmu okrzykiem, nieznaną mi dotąd siłą — tętni serce i drży bez liku" itd. Takie zdania i tym podobne — nie mogą nigdy nadać wartości wierszom, a więc radzę wystrzegać ich się, albo też zrezygnować z aspiracyj poetyckich. Kto wie, czy to drugie nie będzie lepsze? Proszę, niech Pan się nad tym zastanowi i szczerze do mnie napisze.

TYM WIĘCEJ...

„Fides". Och, „Fides", rozbrajające jest to zakończenie listu, tym więcej, że w oczach miłych Sympatyczek uchodzę za łysego, okrutnie pomarszczonego dziada! Za to miłe zakończenie serdecznie ściskam łapki. Wierszyk dobry! Pójdzie!

NIE OSĄDZAJ

Nie osądzaj bliźnich, ponieważ my ludzie,
W grzechu się rodzimy i w grzechu żyjemy.
W sercach naszych brzydki egoizm się budzi:
Cudze błędy widzimy, swoich znać nie chcemy.

Nie osądzaj bliźnich, nie bądź egoistą,
Bo czyś lepszy od nich? Zbadaj własne czyny.
Wierzaj przyjacielu! Kto ma duszę czystą,
Ten nie sądzi innych i przebacza winy.

Nie osądzaj bliźnich, gdy cierpi ich dusza,
Gdy życie im czasem fatalnie się składa
I jeśli to nieraz do grzechu ich zmusza,
To takich nieszczęsnych sądzić nie wypada.

Nie osądzaj bliźnich i bądź sprawiedliwy,
Nie spoglądaj na nich ze złej tylko strony.
Możesz się omylić, wydać sąd fałszywy.
A więc nie osądzaj — nie będziesz sądzony.

„Fides".

— O, Wyczółkowski, stary przyjaciel! Gdzież ty go zdybałaś! — zawołał wesoło. — I z Asanem! Świetne zdjęcie! Obydwaj są jak żywi! To w lesie robiona fotografia? — spojrzał na nią pytająco.

Inie wydało się, że dojrzała w jego wzroku cień niepokoju. Odpowiedziała poprostu:

— Tak, w lesie. Któregoś dnia pojechałam do lasu na spacer i napotkałam tego gajowego. On widocznie widział mnie gdzieś przed tym, może na Lubie... dość, że to on mnie poznał i przedstawił mi się, jako wasz przyjaciel... Bardzo miły człowiek... podobał mi się.

— Ciekawe, gdzie on ciebie mógł widzieć... Na ślubie miał być, ale go nie było w kościele. W każdym razie gdziekolwiek cię widział, to pewno krótko i przelotnie. Dobrą ma pamięć stary wyga i bystre oko. Strasznie go lubię — zakończył pogodnie — i cieszę się, że poznałaś tego naszego przyjaciela.

— Czy wiesz o co mnie prosił?

— No?

— Żebyśmy naszego syna, o ile to będzie syn, nazwali Jerzy.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się swobodnie Andrzej — Poznaję w tym Wyczółkowskiego! Tak, naturalnie! On zawsze, tak czy inaczej, musi moje sprawy łączyć z Jurkiem, a Jurka ze mną. I co mu powiedziałaś na tę jego prośbę?

— Obiecałam, że pierwszy nasz syn będzie się nazywał Jerzy. Czy dobrze zrobiłam?

— Oczywiście! Będzie się nazywał Jerzy i Jurek musi być jego ojcem chrzestnym.

— Ale czy do tego czasu Jurek wróci z granicy?

— Mam nadzieję. A czy Wyczółkowski mówił ci coś o nim? — zapytał z pewnym niepokojem Andrzej.

— Nie, bo nic o nim nie wie od dawna. Przeciwnie, pytał się o niego.

„Stary jest dyskretny — pomyślał Andrzej. — Jurek i jego musiał zobowiązać do milczenia o całym tym swoim fantastycznym pobycie w lesie i o wypadku z dzikiem... Ale dlaczego tak zależy mu na tajemnicy wobec wszystkich, a zwłaszcza wobec Iny... Nie rozumiem..."

— O czym myślisz, kochany? — zagadnęła Ina, widząc wyraz zamyślenia w oczach męża.

— Tak... nic specjalnego... o wszystkim co mi opowiadasz...

— Wyczółkowski za to opowiadał mi o tobie — podjęła znowu.

— Zapewne o dziecinnych latach. On to bardzo lubi. Jest to jeden z ulubionych jego tematów.

— O późniejszych, znacznie późniejszych latach mówił także... — zaryzykowała uwagę.

— Tak — uśmiechnął się Andrzej dobrotliwie. — Stary, kochany gaduła.

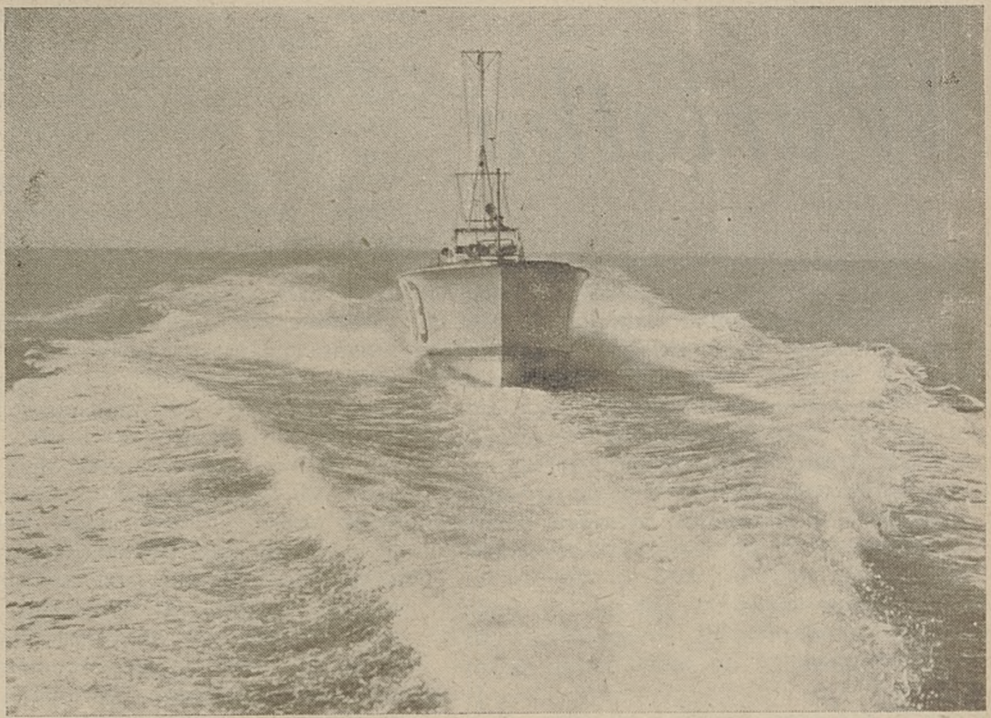
„Jakiż on jest pewny dyskrecji tamtego człowieka... — pomyślała Ina ze zdumieniem.

— A czy nie wspominał o tym wielkim gnieździe na topoli, które Jurek sobie zbudował? Kiedyś tam stary wlazł i nie mógł zejść. Pyszna była historia!

— Jakto Jurek? Przecież to ty zrobiłeś to gniazdo.

— Nie, kochanie. Widzę, że ci się pomyliły moje opowiadania, bo często plączesz moje figle z dzieciństwa z figlami Jurka. Może i dobrze, że jego tutaj nie ma — dodał figlarnie zaglądając jej w oczy. — Jesteśmy do siebie, jak twierdzą wszyscy, bardzo podobni. Może pomieszalibyśmy się w twoim serduszku i nie wiedziałbyś, którego z nas kochasz...?

— Ach, Andruszka, jakież ty głupstwa pleciesz! Żeby był nie wiem jak podobny do ciebie, to przecież nie byłby tobą! A ja ciebie kocham, najmilszy mój ty jedyny... Jego mogę kochać, i na pewno go pokocham, ale jak siostra...



Brytyjska łódź torpedowa mknie pełną parą naprzód

VII.

Minęło dziesięć lat.

W ciepły i cichy wieczór lipcowy Andrzej i Ina siedzieli na tarasie przed domem, w którym zamieszkiwali w Dębach i rozmawiali o bieżących sprawach swego życia. Jak zwykle przy takich pogawędkach przytulona była do niego, a on obejmował ją jednym ramieniem i dobrze mu było, gdy czuł blisko bicie jej kochającego serca.

— Więc miałaś dzisiaj specjalne kłopoty z naszymi urwisami — pytał, całując jej włosy.

— No tak. Cóż to za nieznośne te nasze chłopaki! Żal mi ich było, ale musiałam ich ukarać, bo gdyby im na wszystko pozwalać, to mogłoby się skończyć jakimś nieszczęściem. Temperament i inicjatywę w fantastycznych figlach sumiennie wzięli po tatusiu i stryju! — zażartowała wesoło.

— Jak to właściwie dzisiaj z nimi było?

— Po prostu Jurek i Jędrek, bądź co bądź chłopaki jeden 9 lat a drugi 8, mogliby mieć trochę zastanowienia w głowie, — wzięli małego Józia do starego ogrodu, wsadzili go na wysoką gałąź z dubeltówką w ręku i kazali mu udawać „białego". Oni natomiast byli indianami, którzy na „białego" zarzucali lasso, aby go złapać i oskalpować. W rezultacie zwalili go na ziemię i wyobraź sobie, że dubeltówka, o której myśleli, że jest nie nabita, wypaliła jak nic! Łaska Boska, że nie trafiła w żadnego z nich. Wszyscy trzej dostali w skórę, przede wszystkim za to, że dobrali się do twojej szafy z bronią i że zabrali bez pytania dubeltówkę, a powtóre, że z tym malcem wyprawiali takie sztuki. Dzieciak mógł się przecie zabić z samego upadku z drzewa. Toż to jeszcze szkrab mały, ledwo pięć lat skończył.

— Ot, chłopaki nieznośne! Ale podobają mi się! Zupełnie w nich widzę moje i Jurka dzieciństwo.

Na wspomnienie brata oboje posmutnieli i spoważnieli. Po chwili milczenia Ina zapytała?

— Jak ty myślisz, czy ja poznam kiedy tego „uciekiniera" Jerzego?

— Czy ja wiem? Ostatni list od niego mieliśmy z Australii przed pięcioma laty. Pamiętasz? Byłaś wtedy w ciąży z Józiem...

— Tak, pamiętam doskonale i ten list mam schowany...

— Obawiam się, że biedaczysko nie żyje, że zginął w którejś ze swoich wariackich wypraw w pustynie Australii. Poco go tam licho poniosło, żeby mi to kto powiedział...!

— Dzisiaj, jak byłam w kościele, dałam znowu na Mszę św. na jego intencję i bardzo gorąco modliłam się za niego...

— Kochana ty moja... — szepnął Andrzej z wdzięcznością w głosie.

Raptem do uszu Iny i Andrzeja doleciał jakiś odgłos, tak jak gdyby warkot motoru samochodu.

— Czyżby do nas ktoś jechał...? — powiedział Andrzej nasłuchując.

— Nie spodziewamy się teraz nikogo. Pewno raczej do dworu...

— Ależ nie, kochana, najwyraźniej do nas warkot się zbliża... Gdyby do dworu, to w tej chwili już ten odgłos oddalałby się od nas...

— No tak, masz rację... Zresztą już widać na zakręcie w alei. To do nas ktoś jedzie!

Oboje zerwali się z trzcinowej kanapki i stanęli na skraju tarasu.

Po krótkiej chwili wielka limuzyna objechała gazon przed domem i zatrzymała się tuż przy schodach wiodących na taras.

Jakiś mężczyzna puścił kierownicę i wyskoczył z auta.

— Czy państwo Jelenieccy? — zapytał wesołym głosem — bo pod światło w nocnych ciemnościach nie poznaję!

— Jerzy!!! — krzyknął Andrzej i jak szalony rzucił się do brata.

Chwycili się w ramiona i długą, bardzo długą chwilę trwali w tym serdecznym, silnym, braterskim uścisku.

Wreszcie odsunęli się od siebie, trzymając się wciąż za ręce.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

5)

Wariatka

— Dobrze mi jest z tym, bo wiem, że jemu jest z tym bardzo dobrze. Ale, odbiegając od tematu: spotkałam Jankę Łabędowską. Okropnie wygląda! Pamiętasz, w szkole była wcieleniem radości życia. A teraz — ruina człowieka. Matka jej obłożnie chora od miesięcy, zdaje się, że to rak. Ona bez posady. Wyrzucają je z mieszkania. Byłam u nich. Zupełna nędza. Obleciałam wszystkie nasze koleżanki, które są w Warszawie, zebrałam składkę. Nawet sporo się zebrało — osiemdziesiąt złotych!

— W tym twoich — tak jak cię znam — pewno czterdzieści! — roześmiała się Irka. — Dlaczego do mnie nie zwróciłaś się także?

— Wiedziałam, że będę u ciebie. Tam zawsze potrzeba, nigdy nie będzie nie w porę.

— Dam ci dwadzieścia złotych, żeby była równa setka.

— Doskonale. Zaraz jutro jej to zaniosę. Na razie eksmisja jest wycofana. Już to dużo znaczy. Teraz szukam dla niej jakiegoś zajęcia. Trzeba koniecznie coś znaleźć bo nie podobna zostawić tak tych dwu kobiet. Póki się coś nie znajdzie, będę musiała ciągle po tych składkach biegać, aż mnie wreszcie przepędzą za drzwi!

— A gdyby się tutaj coś znalazło?

— Gdyby coś pewnego, to jakoś byśmy je tu przetransportowały. Lepiej było by w Warszawie jednak.

— Czy nie uważasz, że my za mało zarabiamy? — zapytała Irka żartobliwie.

— Tak, nieraz o tym myślałam — roześmiała się Iga. — Ale zdaje się, że na mnie już czas.

Spojrzała na zegarek.

— Dobrze było spędzić kilka godzin razem, a teraz, tak, niestety, już pora na pociąg. Następnym razem zobaczymy się w Warszawie. Ty przyjedziesz do mnie.

Irka odprowadziła przyjaciółkę na stację i obiecała na pożegnanie wkrótce wybrać się do niej.

W domu Iga zastała list od Romana. Prędko zdjęła futro i kapelusz i z radosnym pośpiechem rozerwała kopertę.

„Droga Igo —

Dobrze mi tu jest na wsi, spokojnie i naprawdę można trochę odpocząć po warszawskim tempie życia, ciągłym pospiechu i pracy. W tym uspokojeniu dużo bardzo myślałem o Tobie — serio i poważnie i najserdeczniej. Mam w stosunku do Ciebie wyrzuty sumienia, bo biorę więcej niż dać mogę. Myślę, że lepiej będzie, jeśli będziemy widywać się rzadziej. Co innego jest spotkanie na mijance życiowej, a co innego wielkie uczucie, które w Tobie się budzi, a które ja zawsze i z przyzwyczajenia muszę zwalczać. Jestem wprawdzie lekkomyślny, ale nie znoszę krzywdy, a w razie przeciągania się sytuacji, byłoby to z krzywdą dla osoby trzeciej. Myślę, że rozumiesz mnie. Mam dla Ciebie bardzo dużo prawdziwej przyjaźni, cenię Twoją wartość i zawsze będę o Tobie myślał jak najserdeczniej. Za dobre chwile z serca dziękuję i jako najmilsze zachowam w pamięci — ale jednak trzeba być rozsądnym i uczciwym: nie mogę wykorzystywać Twego uczucia. Jak tylko przyjadę zaraz zadzwonię. Teraz krocie serdeczności łączę i rączki Twoje całuję

Rom".

Ręce Igi, trzymające list, opadły bezwładnie na kolana. Nieznośny ciężar przygniótł serce. W myślach szybko i bezładnie goniły się zdania listu, odzywając się bolesnem echem w sercu. Coś runęło, zawaliło się. Miejsce żywego tętna radości życia, zajęło poczucie beznadziejnej pustki.

Koniec.

Tak krótko. Tak mało.

Iga bez ruchu przesiedziała godzinę, może dwie. Nie wiedziała.

Wreszcie wstała, usiadła przy biurku, wzięła kartkę papieru i napisała:

„Kochany —

Dziękuję za list. Oczywiście będzie wszystko tak, jak sobie życzysz. Cieszę się, że chwile spędzone ze mną były dla Ciebie czymś dobrym, bo tylko czymś dobrym i radosnym chciałam być w Twoim życiu. Przyjdziesz do mnie kiedy będziesz chciał. Zawsze będziesz mile widziany.

Wykorzystaj resztę wolnych dni na dobry odpoczynek. Przyda Ci się, byłeś ostatnio bardzo przepracowany. Tymczasem tyle tylko i serdeczności —

Iga."

ROZDZIAŁ VI.

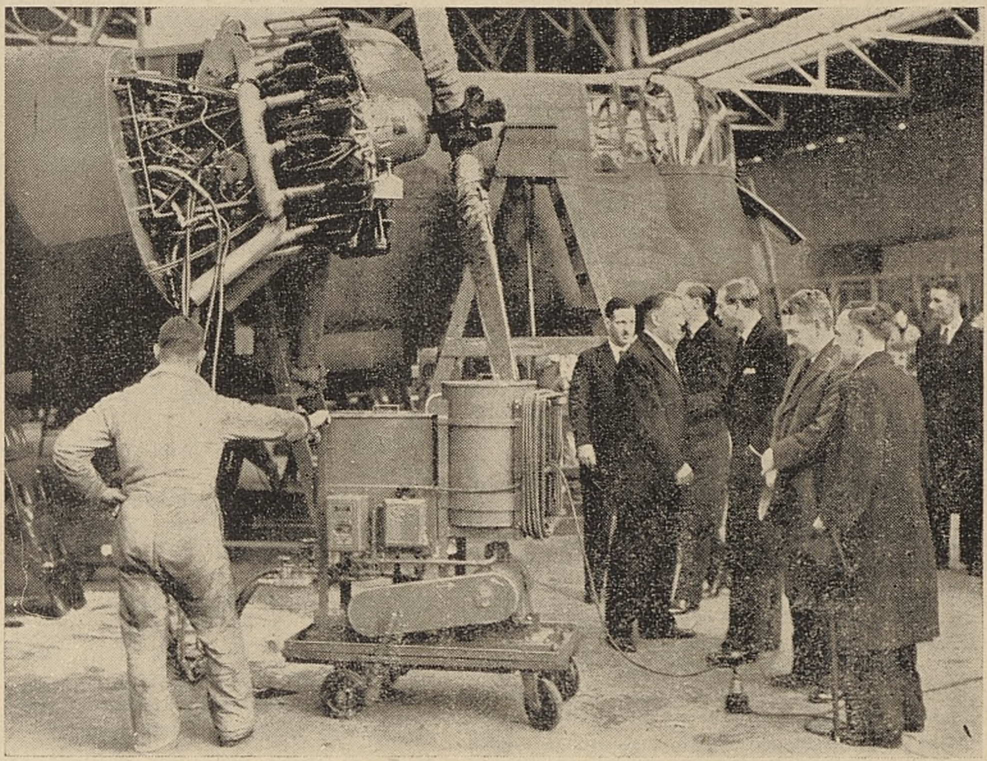
Rozpoczął się dla Igi szereg złych tygodni. Roman po powrocie do Warszawy zatelefonował do niej natychmiast. Mówił czule i serdecznie. Opowiadał o swoim pobycie na wsi, dziękował za list. Powiedział: „Wiedziałem, że tak się ustosunkujesz do mojej decyzji. Jesteś rzadkim typem kobiety, pozbawionej zupełnie egoizmu (Iga na drugim końcu drutu telefonicznego uśmiechnęła się gorzko). Nawet nie wiesz, jak ci jestem wdzięczny za słowa, które mi napisałaś. Jeszcze bardziej ugruntowały one moją prawdziwie serdeczną dla ciebie przyjaźń. Teraz jestem bardzo zajęty, mam masę spraw zaległych do załatwienia, ale znajdę kiedy trochę czasu, aby wpaść do ciebie na chwilę".

Minął tydzień, potem drugi, trzeci. Roman nie przychodził. Nie telefonował. Iga nie odzywała się również. Samotność, z którą dawniej tak była zżyta, ciążyła jej teraz niewypowiedzianie. Przychodziły silne paroksyzmy tęsknoty, tak bolesne i dotkliwe, że całymi godzinami potrafiła bezczynnie leżeć na tapczanie z zamkniętymi oczami, z rękami pod głową. Po tysiąc razy przechodziła myślą wszystkie chwile znajomości z Romanem, od tych najpierwszych z wagonu, aż do ostatniej rozmowy telefonicznej.

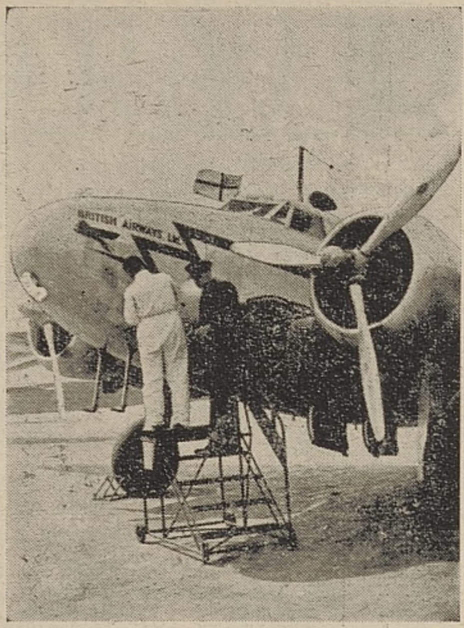
Starała się wszystko zrozumieć. Umiejąc się zdobyć na bezstronny sąd, pochwalała jego decyzję; ale bolesnym i upokarzającym był dla niej fakt, że ona dla niego była tylko miłym epizodem, podczas gdy on dla niej, w nowoobudzonym odrodzonym sercu — gorącym uczuciem.

Nie zdobywała go — przyszedł sam. Tym bardziej teraz ani przez chwilę nie myślała o tym, aby go w ten czy inny sposób odzyskać. Najważniejszym dla niej było to, że dała Romanowi szereg dobrych jasnych chwil. Dała więcej niż wzięła. I nie zamieniłaby ról, nie chciałaby być tą stroną, która biorąc wszystko, daje tylko trochę. Nie zgodziłaby się na taką rolę.

Nie czuła ani goryczy, ani żalu. Nie przestała być pogodną i równą. Pustkę, która powstała teraz w jej życiu, starała się na nowo zapełnić czytaniem, trochę ostatnio zaniedbanym, i muzyką. Poza tym niemal co drugi, trzeci dzień musiała jeździć do Józefowej, u której w domu choroba na dobre się rozgościła i wymagała ciągłej opieki Igi. Los Janki Łabędowskiej też leżał jej na sercu i wiele zabierał czasu i myśli. Nie należała do ludzi, którym ich własne cierpienia zamykają oczy na niedole bliź-



Książę Kentu zwiedza fabrykę lotniczą Armstrong-Whitworth w Anglii



Samolot angielski linii British Airwags przybył ostatnio do Warszawy, zapoczątkowując nową linię lotniczą Londyn—Warszawa.

nich. Im bardziej było jej ciężko czy źle, tym więcej myślała o tych wszystkich, nawet nieznanych sobie nieszczęśliwych, którym gorzej było niż jej. I wtedy uczucie goryczy do losu — nawet jeśli się zrodziło — musiało w niej umierać.

Któregoś dnia, a było to w szóstym tygodniu od daty listu Romana, gdy wracała z wędrówki składkowej dla Janki, już niedaleko od domu, spostrzegła przed sobą na ulicy zgarbioną starowinę, która z trudem dźwigała spore wiaderko pełne węgla. Co kilka kroków odpoczywała. Iga podeszła do niej i ze zwykłą sobie prostotą powiedziała:

— Dajcie ten węgiel, zaniosę go, bo wam za ciężko.

Starowina spojrzała na Igę ze złym niedowierzaniem, z niepewnością. Może bała się, że Iga ucieknie z węglem.

Iga, jakby odgadując jej myśli, powiedziała:

— Nie bójcie się. Nie zabiorę wam tego węgla. Mnie niepotrzebny.

I uśmiechnęła się.

— Niech Bóg wynagrodzi — odparła starowina, pozwalając Idze wziąć wiaderko. Teraz we wzroku jej mignęło coś w rodzaju wesołości pomieszanej z politowaniem.

Iga niosła węgiel, starowina dreptała koło niej.

Po kilku minutach znalazły się na podwórzu jednej z kamienic. Po zniszczonych schodach zeszły do sutereny. Iga postawiła wiaderko koło drzwi i skierowała się do wyjścia. Starowina jeszcze raz zamruczała: „niech Bóg wynagrodzi" — i Iga wyszła. Już była w bramie, gdy pomyślała sobie, że niedobrze zrobiła nie zajrzawszy do biednego mieszkania. A może jakiejś opieki potrzeba?

Zawróciła.

Gdy podeszła do zejścia ze schodów, zatrzymała się nagle. Przez otwarte okno sutereny dochodziło wyraźnie opowiadanie starej kobiety o wydarzeniu z węglem.

— Taka ci fajnie ubrana pani i niosła ci ten węgiel aż pod same drzwi... A ty, jak w kapelusie wyjńdziesz, to się i koszyka wstydzisz...

— A no pewno! A tamta to pewnikiem wariatka, bo jakby nie trącona na głowie, to by się też wstydziła.

Iga uśmiechnęła się smutno.

— Jakże mało przyzwyczajeni są ludzie — myślała — do wzajemnej, choćby tak drobnej usłużności! Usłużność — to nie jest rzecz normalna! Trzeba być „trąconym na głowie", aby bliźniego potraktować jak bliźniego. „Wariatka"... Roman wyraził wyraził mniej więcej to samo, tylko w wytworniejszej formie: „dziwnie altruistyczna istota"! Wszyscy, którzy przechodzili koło tej staruszki obojętnie — to byli normalni ludzie. Ja jedna okazałam się wariatką!...

Po raz drugi zeszła po ciemnych schodach i zapukała do drzwi suterenki.

— A kto tam?

Iga otworzyła drzwi i stanęła w progu. W izbie ciemnej i dusznej znajdowały się oprócz staruszki, kobieta w średnim wieku i dwuletnie mizerne dziecko. Kobieta stała koło balii. Ręce miała zanurzone w białej pianie mydlin. Prócz łóżka, siennika leżącego na podłodze w rogu izby, stołu i krzywego taboretu — nie było żadnych innych sprzętów.

Panowała tu wyraźnie zwykła bieda sutereny.

Obydwie kobiety, ujrzawszy Igę, zamilkły. Były zakłopotane.

— Nie jestem wariatką — powiedziała Iga z pogodnym wesołym uśmiechem. — Zawróciłam tu jeszcze, bo skoro ten węgiel przypadkowo mnie tu już sprowadził, chciałam zobaczyć jak mieszkacie. Widzę, że tu u was bieda. Może wam co pomogę.

Obydwie kobiety stały zmieszane i zawstydzone. Milczały uparcie. Idze wydało się, że jest w tym milczeniu nieufność. „Dobry uczynek wzbudza nieufność i kwalifikuje na wariata" — zrobiła w myśli uwagę.

Sięgnęła do torebki. Przypomniała sobie, że jest w niej kilka miętowych cukierków. Podała je dziecku. Wzięła je po chwili namysłu, patrząc na Igę spode łba, potem schowało się w brudne fałdy mokrego fartucha matki.

— Czy same jesteście? Co się dzieje z ojcem tego dziecka?

— Mój mąż, proszę pani — odważyła się wreszcie przemówić młodsza kobieta — bezrobotny. Cały dzień łazi to tu, to tam, szuka roboty. Ale nic z tego...

— Z czego więc żyjecie?

— A no, z tego co wypiorę. Ale trudno nastraszyć, i mało tego prania. Posprzedawali my już co się dało sprzedać i sam Bóg wie, co będzie dalej...

— Dawno mąż nie ma zajęcia?

— Tak po prawdzie, to już będzie dwa lata.

— A jaki jego zawód?

— Ślusarz... Ale i za woźnego by poszedł, bo przecie czytać i pisać dobrze umie, i co inne by robił... Ale nie ma nic.

Iga zapisała imię i nazwisko bezrobotnego i obiecała starać się dla niego o jakieś zajęcie. Miała przy sobie dziesięć złotych. Do pierwszego było jeszcze kilka dni. łatwiej sobie poradzi niż ta biedota. Dała więc praczce pięć złotych.

Obydwie kobiety zaskoczone całym wydarzeniem, nie wiedziały w zakłopotaniu jak dziękować za niespodziewaną opiekę i pomoc zesłaną im przez Opatrzność. Iga zaś, wychodząc, powiedziała wesoło:

— Tylko nie mówcie więcej nigdy o takich jak ja, że to wariaci. Przecie obrazek Pana Jezusa wisi u was nad łóżkiem... Do widzenia.

Zmierzając do domu, Iga myślała o całym tym zajściu i rozmyślania swe konkludowała: „moim zachowaniem się musiałam jeszcze bardziej utwierdzić je w przekonaniu, że jestem wariatką...

Zaledwie zdjęła kapelusz, zadźwięczał dzwonek w przedpokoju, a gdy otworzyła drzwi ujrzała Obłockiego.

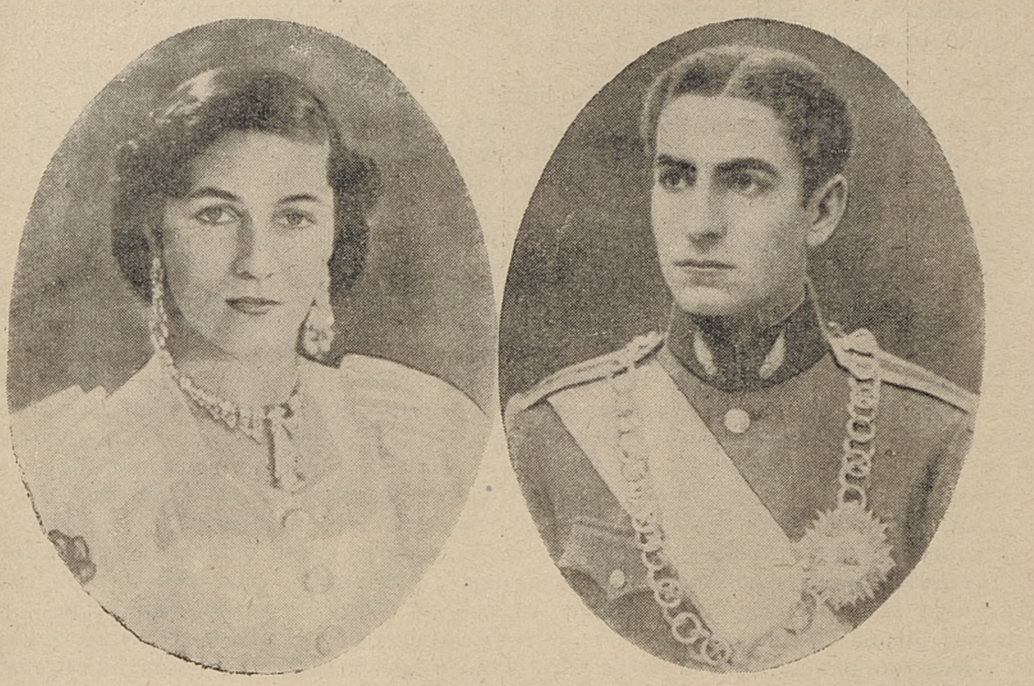
— Przyszedłem się z panią pożegnać — zaczął, wchodząc do pokoju. — Za kilka dni wracam do Paryża.

— Proszę, niech pan siada. Zdaje mi się, że o wiele dłużej był pan w kraju, aniżeli pan być zamierzał?

— Tak. Nie wiem kiedy wrócę. Musiałem więc wiele spraw i interesów pozałatwiać. Nie mam tu co robić, źle się czuję, tęsknię do Francji, mojej ojczyzny. Polska to kraj szary, nieprzyjemny, ludzie niemili...



Tak wygląda ruchomy urząd pocztowy w Anglii



Odbyły się ostatnio zaślubiny irańskiego księcia — następcy tronu z księżniczką egipską Fawzią, siostrą króla egipskiego.

— Nie mówmy o tym — przerwała mu Iga. — Przykro mi jest słuchać takich rzeczy. Już się swego czasu wypowiedziałam, co o tym myślę i nie chcę wracać do tego tematu. Cóż pan zamierza robić w Paryżu?

— Wstąpię do seminarium i zostanę księdzem.

— Bardzo to pięknie. Ale niech pan naprawdę stara się uczyć ludzi najważniejszej rzeczy: miłość bliźniego. Żeby ludzie nie nazywali tych, którzy wyświadczają bliźniemu drobną usługę — wariatami.

— Jakto? Nie rozumiem.

Iga opowiedziała wesoło i z humorem przygodę z węglem.

— Pani zrobiła tym ludziom krzywdę moralną — powiedział poważnie Obłocki, gdy Iga skończyła opowiadanie.

— Ja? krzywdę moralną?! Jakim sposobem?

— Zamiast słowa Bożego, dała im pani pięć złotych. Jakie pani ma kryterium, żeby się dziwić, iż lepiej jest dla nich, by byli syci, niż by byli głodni? Ziemskimi, marnymi środkami chciała pani zwalczyć wolę Bożą. Znacznie większe wyrządziłaby im pani dobrodziejstwo, gdyby pani pouczyła te kobiety, aby znosiły bez buntu i z poddaniem się woli Bożej ich los, który jest dopuszczeniem Boskim, Gdyby pani je pouczyła, że tą drogą cierpienia i nędzy prowadzi je Bóg do zbawienia wiecznego...

— A cóż znaczą słowa: głodnego nakarmić, nagiego przyodziać, spragnionego napoić?

— To przede wszystkim w przenośni trzeba ujmować.

— Ależ panie! te słowa trzeba brać dosłownie! Będzie ktoś umierał z głodu, ja jestem syta, i będę mu tłumaczyć, że jego głód — to szczęście dla niego?!

— Ważniejsze są sprawy ducha niż ciała.

Iga patrzała na Obłockiego szeroko w zdumieniu otwartymi oczami. Po małej chwili powiedziała:

— Albo pan ma gorączkę, albo pana mózg jest w ogóle nie w porządku. Tam usłyszałam, że jestem wariatką, od pana — że wyrządziłam krzywdę moralną! Któż z nas jest najbliżej Ewangelii?! Ale nie czuję się na siłach argumentować. Pan i tak nic nie zrozumie. Będzie pan takim księdzem, który tylko odstraszać potrafi wiernych od religii. Powinien pan zrobić zupełnie co innego.

— Mianowicie?

— Zamiast do seminarium — udać się do psychiatry. Pan jest chory.

— Ach, panno Igo! — zawołał Obłocki entuzjastycznie i z śmiechem. — Wiedziałem, że usłyszę od pani coś cudownego! Śmiał się i nerwowo palcem dotykał szczoteczki wąsów. Zdawał się być bardzo zadowolony.

Iga patrzała nań z politowaniem i wyrozumiałością.

— Powiedziałam to nie jako żart, ale serio i życzliwie dla pana. Może pan wyrządzić dużo złego — choć nieświadomie. Pana rozumowania są jednym nieporozumieniem. Bardzo bym chciała, aby pan się wyleczył ze swojej patologicznej religijności. Stałby się pan wtedy lepszym człowiekiem.

Iga mówiła poważnie. Obłocki śmiał się ciągle, robił gesty, wyrażające wesołe zdumienie, od czasu do czasu nerwowo dotykał palcami wąsów.

— Bardzo lubię, kiedy pani mówi mi różne przemiłe impertynencje. Będzie to dla mnie jedyne przyjemne wspomnienie z Polski.

Wstał, aby się pożegnać. Nie zatrzymywała go. Była zmęczona tą wizytą. Chciała być sama.

Ledwo Obłocki wyszedł — zadźwięczał dzwonek.

Iga poznała kto dzwoni: „Rom"! zawołała; zrywając się z krzesła i pobiegła żywo otworzyć.

Nie myliła się. Po sześciu tygodniach przyszedł ją odwiedzić.

Trzymał ją teraz za obydwie ręce przed sobą i patrzał w oczy z miłym uśmiechem. Potem przytulił na chwilę do serca, pocałował we włosy. Wreszcie siadając na tapczanie, zapytał:

— Cóż u ciebie słychać? Dawno nie rozmawialiśmy ze sobą.

Iga zwykle — przed pamiętnym listem — siadała obok niego bliziutko, z głową na jego piersiach, przytulona jego ramieniem — i tak rozmawiali. Dzisiaj usiadła na fotelu.

— U mnie rzadko kiedy słychać coś nowego — odparła. — Moje życie jest dość jednostajne. Oprócz dnia dzisiejszego: ty przyszedłeś.

Uśmiechnął się mile na te słowa.

— Dlaczego tam usiadłaś?... Chodź tutaj, koło mnie...

Chwilę się zawahała — i usiadła tak jak dawniej. Od razu przygarnął ją do siebie.

— O, tak jest dobrze... — powiedział. — Teraz możemy rozmawiać.

Iga trzymała głowę na jego piersiach. Była wzruszona. Starała się przez chwilę zrozumieć niekonsekwencję jego postępowania. To było trudne. Było jej jednak tak dobrze, że przestała myśleć. Znowu usłyszała jak równo i mocno uderza jego serce — i była szczęśliwa.

— Dlaczego nic mi nie opowiadasz, nic nie mówisz? — zapytał i przytulił twarz do jej włosów.

Podniosła na niego oczy:

— Cieszę się, że przyszedłeś... Znowu słyszę jak ci bije serce — to tak miło...

Łakomie przytulił stęsknione usta do jej ust. Objęła go ramieniem i trwali tak długo w nieskończonym pocałunku. I potem nie mówili do siebie nic. Żar pieszczoty ogarnął ich całych. Wzajemnie stęsknieni za sobą, zatonęli w bezbrzeżnej rozkoszy, zapominając o świecie całym.

Kiedy ochłonęli nieco i cichutko siedzieli obok siebie, Iga zapytała raptem:

— A twój list?... Dlaczego przyszedłeś tak jak dawniej?..

— Tak. List. Widzisz, inaczej pisze się list na odległość, a inaczej się postępuje, kiedy się jest blisko... Jednak, tak jak ci pisałem, dużo myślałem o tobie i o nas. Podstawą tego co nas łączy jest przede wszystkim przyjaźń. Wszystko inne, z tych czy innych powodów może przestać istnieć. Nie wyobrażam sobie jednak, aby ten fundament zasadniczy przyjaźni mógł się kiedykolwiek zawalić. To jest dla mnie rzecz pewna, dlatego, że z jednej strony jesteś ty — taka jaka jesteś, z drugiej — moja absolutna wierność w przyjaźni.

— Tak, nie ma takich warunków, które mogłyby nas moralnie rozdzielić. Wiem o tym. Ale czy uważasz, że to co nas teraz łączy — poza przyjaźnią — to jest coś złego?

— Niestety, tak.

— Więc dlaczego to robisz?

— Nie jestem doskonałością... Jestem tylko człowiekiem.

— A ja nie mam najmniejszego poczucia, że robię coś złego. Kocham cię po prostu. Jesteś moją radością życia. Te „nasze" chwile są dla mnie źródłem energii życiowej i chęci do czynienia wszystkim dokoła jak najwięcej dobrego. A ty? Ileż razy mówiłeś mi, że jest ci przy mnie dobrze, że odpoczywasz, że zapominasz o wszystkim... I nie robię nikomu krzywdy. Czyż chcę cię zabrać „osobie trzeciej"? Sam wiesz, że gdyby tylko leżało to w mojej możliwości, dopomogłabym nawet do szybszego zrealizowania twoich planów życiowych i zobowiązań... bo ty tego chcesz. Nie, ani trochę nie mam poczucia, że robię coś złego, nie. C. d. n.

RAJ KOBIET



K 26 330. Sukienka na przedpołudnie z wełny w beżowo-zieloną kratę. Pasek i guziki zielone.

K 36 160 i K 36 161. Dwie sukienki popołudniowe: fiołkowa w deseń żółty i niebieska w motywy cyklamenowe; obie z jedwabiu.

K 26 496. Bardzo młodociana sukienka granatowa w różowe groszki, nadająca się zarówno na przed, jak i popołudnie.

M 26 506 i M 26 504. Dwa eleganckie płaszczyki do sukien popołudniowych.

Kroje nabyć można w naszej adm. w cenie za sukienki 1,50 zł, za płaszcze — 1,70 zł.

Strój wiosenny

Tegoroczna moda zapowiada się wyjątkowo kolorowo, jest dwu, a często nawet trójbarwna. Mamy do wyboru niezliczoną ilość kombinacyj. Płaszczyk koloru pervenche, wtedy można przybrać sukienkę wiśniowym paskiem i chusteczką. Modne są sukienki tego samego koloru, co podbicie płaszcza. Modne są gładkie okrycia do sukien w paski tego samego koloru. Najładniejsze i zarazem najmodniejsze jest połączenie koloru granatowego z czerwonym, ale w odcieniu niezbyt jaskrawym. Modne są kostiumy męskie z kamizelkami dla pań i kostiumy uzupełnione bolerkami. Taka moda pozwala Pani na wybór kolorów, w których jest jej do twarzy. Nowością są poprzeczne paski, które — o dziwo, nie tylko, że nie poszerzają sylwetki, ale jeszcze ją poszczuplają.

Wykorzystuje się obecnie w oryginalny sposób desenie wzorzystego jedwabiu, a mianowicie: ornamenty ciemniejsze zgęszcza się ku przodowi, a rozjaśnia do boków. Ulubionym przybraniem, tego sezonu są wszelkiego rodzaju lingerie, oraz, nie mogąca się opatrzyć, biała pika. Z piki robi się krawaciki, lamówki, kieszonki, plisy i brzeży się dół spódnicy. Ale najładniej wyglądają białe pikowe kokardy.

Najpoważniejszą troską Pani jest wybór okrycia, skompletowanie go z resztą, która kosztuje niekiedy tyle, co kostium czy płaszcz. Sukienkę, czy komplecik letni można jakoś wykombinować, ale kostium czy płaszcz wymagają zarówno dobrego, drogiego materiału, jak i dokładnego wykonania. Poza kosztownymi rodierowskimi materiałami i krajowymi samodziałami mogą doskonale wystarczyć bielskie materiały oraz tomaszowskie tweeedy. Są miłe w kolorze i w deseniu, miękkie i przyjemne w do-

tyku. Paryż lansuje wcięte redingoty oraz fantazyjne luźne klosze pozbawione kołnierzy, klap i guzików. Jest to bardzo szykowny fason i chociaż luźny, nie pogrubia sylwetki. Modny kostium ma mniej wysokie i z lekka tylko poszerzone ramiona, zapina się na 2 i 3 guziki i im krótszy, tym młodsza musi być jego właścicielka. Kieszonki przy tych krótkich, wciętych żakiecikach — przecinane i lamowane, przy dłuższych — nakładane na modłę sportową.

Pierwsze modele sukien, pokazywane w Warszawie na rewiach, w połączeniu z halkami, wywoływały pierwotnie sprzeciw. Tegoroczna halka, to już nie żarty; rąbek przyszyty do sukienki i mający imitować ukrytą pod nim rzeczywistą, staroświecką halkę nie wystarczy. Najnowsze żurnale mody bieliźnianej ukazują całe rzędy modnych halek, na karczkach z falbanami, niektóre zabawnie rurkowane i ozdobione przeciągniętą u nasady falbany — purpurową wstążką. Wobec wielkiej mody na wszelakiego rodzaju lingerie, jak zaznaczyliśmy wyżej, Panie szaleją teraz za robótkami ręcznymi. Żaboty, riusze, fzyzki, falbanki do rękawów, etc., wykonane są ręcznie, misternie dziergane, mereżkowane, haftowane lub inkrustowane. Bolerka lub bluzki z koronki lub gipiury uchodzą za szczyt elegancji popołudniowej, nosi się je do czarnych wizytowych sukienek. Do kostiumu ciemnego również obowiązuje po południu elegancka bluzka z georgety lub linon, rozszywana walansjenkami.

Celine.

Modne dodatki odświeżą garderobę

Cóż może być przyjemniejszego nad nowy kostium, nad odnowienie garderoby na wiosnę. Kto nie może sobie pozwolić na taki niech się nie trapi zbytnio. Zeszłoroczny kostium da się doskonale odrestaurować, jeśli się odpowiednio skróci spódnicę. (Modna spódnica musi mieć 40 centymetrów od ziemi), zwężyć w pasie żakiet i założy nową apaszkę w grochy lub jaskrawe paski i doda do tego ładny kwiat do klapy. Ale nic tak nie odświeży całości, jak modny kapelusz.

Nowy sposób obierania kartofli

Wynaleziono już wprawdzie dość dawno maszynę do obierania kartofli, niestety była tak niepraktyczna, że zrezygnowano z jej używania. Przede wszystkim wynalazki, wykonywujące za ręce ludzkie obieranie kartofli, mają tę wadę, że usuwają zbyt grubą warstwę skórki, co powoduje pozbawienie ziemniaka witamin, znajdujących się właśnie tuż pod skórką.

Ostatnio jednak w Ameryce zastosowano inną, bardzo racjonalną metodę usuwania łupiny kartofla. Duże ilości kartofli wsypuje się do tunelu, gdzie przez parę sekund poddane są działaniu gorącego powietrza (1 000 stopni). Cienka wierzchnia łupina kartofla pod wpływem wysokiej temperatury spieka się i kruszy. Następnie polewa się kartofle silnym strumieniem wody, który usuwa spieczoną skórkę. Po wysuszeniu pakuje się ziemniaki w paczki 17,5 kg dla handlu i 2,5 kg do domowego użytku.

Wartość tak obranych kartoffli jest, jak potwierdziły doświadczenia, bardzo duża. Silna temperatura bowiem, działając krótko, nie pozpozbawia ziemniaka jego najbardziej odżywczych składników.

ŚWIAT i ŻYCIE

Nowoczesna sztuka balsamowania

Przy przebudowie krypty św. Leonarda otwarto niektóre sarkofagi, aby sprawdzić stan zwłok za-

balsamowanych i stąd wyciągnąć wnioski co do warunków konserwacji w podziemiach na Wawelu.

Szczątki śmiertelne królów, ich małżonek, księcia Józefa... dochowały się rozmaicie: jedne zachowują kształt ludzki, można na nich odróżnić nawet kolor brokateli, inne dosłownie rozpadły się w proch...

Na dworze królów polskich

Nadworni lekarze królów polskich znali sztukę utrwalania ciała. Czynili to jednak inaczej, niż kapłani egipscy, inaczej też, niż dzisiejsi lekarze.

— W średniowieczu sztuka balsamowania ciał —la — mówi na ten temat jeden z najsławniejszych balsamatorów dzisiejszych czasów, powaga naukowa nie tylko Polski, ale i całego świata. Utrwalono ciało napajając je różnymi substancjami. Nierzadko zdarza się odnajdywać zwłoki w okładach z chmielu. Pocz cy balsamatorzy troszczyli się przede wszystkim o wydalenie wilgoci i w tym celu tworzyli warstwę izolacyjną, składając ciało w dwie trumny. Pogrzeby królów trwały po parę tygodni, przez ten czas ciało ich było wystawione na widok publiczny, aby dobrze przeschło. Podobnie zabalsamowane zwłoki znajdują się podobno setkami teraz, w katakumbach zrujnowanych kościołów hiszpańskich.

— Czym pan doktór tłumaczy doskonały wygląd mnichów w podziemiach kościoła sandomierskiego?

— Leżą bez trumien, we wnękach ziemnych. Ciała mają znakomity przewiew, gleba również działa osuszająco. W ten sposób proces mumifikacji nastąpił sam przez się... Tajemnica grobowca Luxoru.

— Mylne jest przekonanie — ciągnie dalej nasz rozmówca — że Egipcjanie robili coś wspanialszego od nas.

Mumia egipska, to skamieniała kluska, okuta w jedwabne powijaki i zalana żywicą. Trudno w niej dopatrzyć się jakiegokolwiek podobieństwa do zmarłego, a przecież chodzi o to, by go pozostawić potomnym takim, jakim był.

Zabieg kapłanów egipskich tbyl jak najprymitywniejszy, usuwali mózg i trzewia, pozostawiając szkielet z układem mięsnym i skórą. Tak spreparowane ciało moczyli w soli parę tygodni, po czym napychali wnętrze trocinami i wystawiali na przewiew. Gdy ciało wyschło, okręcali je jedwabnymi bandażami, nasyconymi olejkami żywicznymi.

W ten sposób utrwalone ciało wymagało jednak specjalnych warunków atmosferycznych: idealnej ciszy wyrównania temperatury, co mogły dać tylko specjalnie budowane grobowce. Mumię Tutankhamena znaleziono np. w siedmiu komorach mieszczących się jedna w drugiej. W środkowej najmniejszej spoczywało ciało, jak w hermatycznym pudle. Przez długie wieki nie dotarł tam najlżejszy ślad życia, temperatura nie zmieniła się ani o pół stopnia.

Kamery izolacyjne

Obecnie było by trudno budować takie kosztowne grobowce. Poradzono więc sobie w inny sposób: komory zastępuje się trumnami. Między jedną trumną a drugą pozostaje warstwa izolacyjna powietrza, nasycona specjalnymi środkami.

Zwłoki Napoleona, po przeniesieniu z wyspy św. Heleny do Paryża, umieszczono w sześciu trumnach: blaszanej, mahoniowej, dwu ołowianych rozdzielonych od siebie warstwą trocin, hebanowej i dębowej. To wszystko spoczywa w kamiennym grobowcu.

Najnowsze metody utrwalania zwłok posiadają jeszcze coś lepszego od ołowiu i hebanu, masę — twardszą od diamentu, której osnową są włókna wełniane. Metody te są bardzo trudne i żmudne, ale pozostawiają zwłokom podobieństwo, a nawet, jak u Lenina — złudę życia na twarzy.

Koń w zabobonach ludowych

Podług wyobrażeń panujących wśród Hucułów febry najłatwiej się pozbyć przez podkadzanie i podkurzanie chorego końskim kopytem.

W Prusach Wschodnich zużytkowują końscki łeb jako wyborne lekarstwo na angielską chorobę u dzieci. W tym celu bierze się tam koński łeb i milcząc i nie oglądając się, idzie się we czwartek po wieczerzy do dołu glinianego, w którym nazbierało się wody deszczowej. Bierze się tej wody pełne wiadro i przynosi się do domu, potem się ją zagrzewa i wlewa się do balii, a wlawszy, przeprowadza się po niej trzy razy łeb koński od wschodu ku zachodowi, po czym w tej wodzie kąpie się dziecko. Po kąpieli rozdziera się dziecku koszulę na piersiach i wraz z wodą odnosi się (wodę i koszulę), nic nie mówiąc i nie oglądając się, do owego glinianego dołu. Tę samą praktykę trzeba powtórzyć dwa razy tym samym sposobem, a na pewno nastąpi polepszenie i uzdrowienie.

W Sieradzkiem wierzą, że w szkielecie kobylej głowy mieści się szczęście i dobrobyt, kto więc taki szkielet posiada, zawiesza go sobie w ogrodzie.

W parafii Kijach (Kieleckie) gdy kapustę zasadzą, a ta przyjmuje się i pięknie wygląda, starają się, aby gdziekolwiek wynaleźć koński łeb, a znalazłszy, stawiają go na kołku tak o pół łokcia od ziemi, aby przechodzień mógł go wpierw zobaczyć, aniżeli piękną kapustę, gdyż inaczej wejrzenie przechodnia mogłoby wywołać urok i zaszkodzić kapuście.

W stronach tych zwykli także przy zatykaniu na kijku czaszki końskiej odmawiać takie zamówienia:

Źli ludzie, zacieklí!
By nam kapusty nie urzeki,
Trza byśmy ją opatrzyli,
Zdechłego konia blisko postawili

Czaszki końskie, chomąta, podkowy

W okolicach górnej Wisły i Skawy włościanie nie wtykają wprawdzie czaszek końskich na płoty, ale kładą w stajniach pod żłobami dla zachowania zwierząt od zarazy. Przypisują więc czaszce końskiej moc ochraniającą zwierzęta domowe, a mianowicie rogaciznę, od chorób zaraźliwych.

W Radzimińskiem mniema, że doskonałym środkiem na gruźlicę są trzewia świeżo zabitego konia, więc, gdy jeszcze ciepłe, chory siedzi w nich godzinę.

Jeśli ktoś jest lunatykiem i po nocy chodzi, a chce się go z tej biedy wyleczyć, trzeba tylko bić uździenicą, gdy chodzi i wołać: „A na miejsce, a na miejsce!"

Chomąto, świeżo z konia zdjęte, jest ponoć wybornym środkiem na różne choroby, trzeba je tylko trzy razy z góry na dół po sobie przesunąć. Dobre jest chomąto także na urok, trzeba się nim również trzy razy przesunąć.

Wiadomo powszechnie, że są ludzie, którzy wierzą i nie tylko u nas w Polsce ale i w Ameryce, że wielkim jest szczęściem znaleźć podkowę końską.

Podług naszych Mazurów w Prusach Wschodnich, podkowa znaleziona i przybita gwoździami do progu, tak żeby końcami była zwrócona do zewnątrz, przynosi szczęście; do kupca sprowadza gości i bogatych nabywców.

Lud w okolicach Żarek, Siewier i Pilicy przybija po wybudowaniu chaty na progu podkowę, aby się szczęśliwie wiodło w gospodarstwie. Na Mazowszu zaś radzą na progu chaty przybić podkowę dla ochrony mieszkańców domu od uroków i czarownic.

Biali Indianie nad Amazonką

W górnym dorzeczu Amazonki, w niedostępnych puszczach, żyją od wieków szczepy Indian, trudniących się wyłącznie rybołóstwem, polowaniem i uprawą kukurydzy. Szczepy te żyją w stanie pierwotnej dzikości, nie utrzymując żadnych stosunków z cywilizacyjnymi ośrodkami, położonymi nad Amazonką. Wśród tej niezbadanej do dziś i nieprzebytej puszczy leży wieś indyjska, której mieszkańcy, dawni czerwonoskórzy, od przeszło 80 lat mają białą cerę.

Przed kilku laty do wsi białych Indian dotarła amerykańska ekspedycja, pierwsza, jaka kiedykolwiek zabłądziła w te strony. Na czele ekspedycji stał znany badacz Indian, prof. dr. Wilfred, który w czasie jednej ze swych pierwszych wypraw w dorzecze górnej Amazonki słyszał już o białych Indianach. Odtąd myśl o tym dziwnym szczepie nie dawała mu spokoju. Postanowił zbadać tajemnicę szczepu, do którego siedziby przedzierać się trzeba było przez dziką, stopą człowieka prawie nietkniętą puszczę. Po kilku dniach uciążliwej podróży, ekspedycja natrafiła na wieś indyjską, w której wigwamy zastąpione były przez drewniane, solidnie budowane domy, znak niechybny, że mieszkańcy wsi stoją na wyższym stopniu kulturalnego rozwoju. Legenda o białych Indianach okazała się prawdziwą. — Pod barwnym indyjskim wełniakiem kryli się ludzie biali, niczym nie różniący się od mieszkańców północnej Ameryki czy Anglii. Wioska była zamieszkaał przez około 200 rodzin. Język ich był dziwną mieszaniną wyrazów indyjskich i angielskich. Ekspedycja znalazła nawet różne dokumenty i kilkadziesiąt egzemplarzy biblii w języku angielskim. To pozwoliło na wyjaśnienie powstania białych Indian.

ZAGINIONY STATEK

W roku 1854, jesienią, najszybszy statek linii Blackwell — „Madagaskar" — opuścił port australijski, Melbourne, z ładunkiem złota oraz 300 pasażerami, udając się w drogę powrotną do Anglii. Upłynął miesiąc jeden, drugi, tymczasem po „Madagaskarze" ani śladu. Po kilku miesiącach bezowocnych poszukiwań ogłoszono statek za przepadły. Lloyd wypłacił należne premie asekuracyjne i sprawa ta, przynajmniej dla świata handlowego została zalatwiona.

PIRACI NA STATKU

Po wypłynięciu z portu Melbourne statek „Madagaskar" zepchnięty został przez burzę na obce wody. Sytuację tę wykorzystali piraci, którzy wśród podróżnych zakradli się na pokład i kiedy statek znalazł się na pełnym morzu, z dala od uczęszczanych szlaków okrętowych, wymordowali załogę i znaczną część podróżnych, zabierając ze sobą zaledwie 30 kobiet i dzieci. Piraci z łupem, kobietami i dziećmi, łodziami przeprawili się ku bliskim brzegom.

Szczęście nie sprzyjało rozbójnikom morskim. Zaledwie zdołano ulokować się w łodziach, zerwał się gwałtowny wicher, który zepchnął łodzie w kierunku dzikich wybrzeży brazylijskich u ujścia Amazonki. Łódź ze skarbem złotym zatonęła w czasie burzy. Wyrzuceni na ląd rozbitkowie przebijali się przez puszczę coraz dalej, podążając w górę rzeki, ciągle w poszukiwaniu drogi, która miała ich wyprowadzić z mrocznych odstępów puszczy na trakt, wiodący w szeroki świat. Tak zawędrowano do górnego biegu Amazonki, w strefę zaludnioną przez Indian. Traf chciał, że gromada białych rozbiła namioty na rozległej polanie, która w języku Indian nosiła nazwę polany złotych duchów. Tej okoliczności biali zawdzięczać mogli swe ocalenie. Indianie, biorąc ich za wcielenie złych mocy, zostawili ich w spokoju, a nawet dla zjednania sobie ich łaski, co noc składali na brzegu polany ofiary w mleku, jedzeniu, odzieży itp. Z czasem kolonia, złożona z 30-tu białych kobiet angielskich i 20 piratów — reszta bowiem zginęła w drodze — rozmnożyła się. Wnukowie zapomnieli o swym pochodzeniu i upodobnili się całkowicie trybem życia i zwyczajami do okolicznych Indian — stali się „białymi Indianami".

HIGIENA i zdrowie

O głodzeniu i niedożywianiu

Głód i niedożywianie są to dwa stany nienormalne, polegające na ograniczeniu lub braku odżywiania. Są one albo wynikiem nieszczęśliwych wypadków, jak rozbicie okrętu, zabłąkanie w górach, morzenie głodem w kazamatach więziennych, albo są dobrowolne u osób psychicznie chorych, protestujących głodem w więzieniu, lub u osób dotkniętych przesadną gorliwością religijną i poszczących, względnie wcale nie przyjmujących pokarmu.

Do dobrowolnych ofiar głodzenia nie należą próżne kobiety, które dla uzyskania wysmukłej linii nie dojadają przez czas dłuższy. Głodzenie wreszcie i niedojadanie jest również środkiem leczniczym, który w ręku lekarzy i pod ich ścisłą kontrolą oddaje nieocenione usługi w medycynie.

Uczucia, towarzyszące niezaspokojonemu łaknieniu są bardzo przykre. Granica wytrzymałości na głód jest dość szeroka; maksimum nieprzyjmowania pokarmu wynosi 30 dni, minimum dni 12—14. Osoby dobrze odżywione znoszą głód dłużej (mają większy bowiem zapas „paliwa" w swym organiźmie). Osoby chude, wyniszczone — krócej. Dużą też rolę gra przyjmowanie wody. Pragnienie jest uczuciem jeszcze przykrzejszym od głodu. Osoby skazane na śmierć powolną bez jedzenia i picia odczuwają początkowo przykre ssanie w okolicy żołądka, następnie szalone bóle w trzewiach, wyschnięcie ust i języka. Pojawia się spadek ciśnienia krwi, temperatury i częstości pulsu, zatrzymanie moczu, zagęszczenie krwi, suchość skóry, bolesne kurcze w łydkach, wreszcie następuje śmierć wśród objawów podobnych do cholery.

Człowiek śmiertelnie głodny staje się zwierzęciem, gryzie palce, połyka rzeczy niejadalne, przecina żyły, ssąc własną krew i zwilżając nią spieczone usta, może dopuścić się bestialskich czynów, morderstwa, androfagii (pożeranie ciała ludzkiego), wreszcie traci przytomność i ginie wśród mąk.

Niedożywianie polega jedynie na przyjmowaniu niedostatecznej ilości pokarmu. Stałe niedożywianie przechodzi z czasem w przyzwyczajenie, stan chroniczny, trudny do wyleczenia z powodu zaburzeń centra łaknienia umieszczonego w psychice.

Niemądre elegantki, by schudnąć za wszelką cenę, niedożywiając się, tracą faktycznie apetyt i ulegają ciężkim stanom chorobliwym, trudnym do pokonania. Występują wówczas zmniejszenie ilości krwi, osłabienie serca i zmniejszenie wydzielania soków trawiennych; w dalszym ciągu z powodu głodzenia się i schudnięcia przyjść może do opadnięcia trzewi szeregu z tym związanych dolegliwości. W wypadkach utraty apetytu i sił, wskutek dobrowolnego głodzenia się jedynie zastrzyki insuliny i podawanie przez czas długi surowej wątroby może wstrzymać rozwój groźnej anemii.

Długotrwałe niedożywianie podobnie jak i głodzenie, może również sprowadzić zgon z powodu groźnego rozpadu własnego białka ustroju.

Jak wiadomo ludzie „kulturalni" jedzą zbyt wiele i często. Je się nie tylko dla zaspokojenia głodu, który się rzadko odczuwa, lecz je się dla towarzystwa, dla braku innego zajęcia, przez smakoszostwo i mówiąc po prostu przez wrodzone obżarstwo. Przejadanie się prowadzi do zmęczenia procesów trawiennych, otłuszczenia organów wewnętrznych i zaburzenia równowagi przemiany materii w ustroju.

Jest przytem wiele chorób, które niedojadanie, a nawet głodzenie znakomicie leczy.

Naturalnie, głodzenia nie można stosować bezkrytycznie. Lekarz musi się trzymać pewnych zasad granic. Do chorób, które się dobrze leczy głodzeniem należą: ostre choroby żołądka i kiszek, 2) choroby pęcherzyka żółciowego, 3) cukrzyca w pewnych okresach, 4) niektóre formy zapalenia nerek, 5) ogólna otyłość. Przy tej ostatniej jednak przeciwskazanym jest leczenie głodem, u osób, które przez próżność chcą schudnąć, u osób ze słabymi powłokami brzusznymi, skłonnych do opadnięcia trzewi, u osób w podeszłym wieku i chorym sercu.

Poza tym głodzenie jest i pozostaje cennym środkiem leczniczym w ręku doświadczonego lekarza.

Macocha

Nowela z okazji Dnia Matki.

Była jeszcze młoda. Właściwie za młoda na to, by móc zastąpić prawdziwą matkę. Zresztą nie liczyła się wcale z tym obowiązkiem, dziecko, to była rzecz podrzędna w jej szczęściu.

— Zaczęło się jednak już z dniem, kiedy pierwszy raz przestąpiła próg dziecinnego pokoju, zaczęło się coś, co można by nazwać buntem i to właśnie dziecka, jego dziecka, Rafała!

Już w pierwszej chwili, kiedy wymuszonym uśmiechem i znudzonym gestem, pozdrowiła je, chcąc złagodzić wrażenie wywarte na nim swą obcą mu osobą, spotkała się z szeroko rozwartymi źrenicami dziecka, o jakimś wrogim błysku w czystych ich głębinach. Zastanowiło ją to. Podeszła, w wąskie swe ręce ujęła jego główkę, składając usta do pocałunku, ale wyrwał się, aż zaplątały mu się drobne nożyny w fałdach długiego szlafroka i uderzył ją butnym spojrzeniem spod ciemnej gęstwiny włosów. Czoło ściągnął grymasem niezadowolenia, i tak już pozostało. — Ile razy spotykali się, mały Rafał zawsze miał oczy zwrócone w przeciwną stronę i ten grymas, nielicujący z jego dziecięcą maleńką twarzyczką.

Zostawał pod opieką swej dawniejszej piastunki. Była to niezastąpiona dla niego opiekunka. Jej też tylko opowiadał w przystępie otwartości, że „Ona" podobałaby mu się, bo ma takie śliczne blade włosy i jest ładna, tylko... dlaczego tu jest?

Mieszkali od niepamiętnych dla Rafała czasów, zawsze w tym samym domu, z wejściem całym oszklonym, z tymi schodami z czerwonym chodnikiem, po których Rafał próbował swych pierwszych karkołomnych prób wstępowania, z tymi samymi posążkami białymi w ciemnych niszach sieni i w tych wysokich ogromnych pokojach. To wszystko były drobiazgi, które jednak stanowiły dla niego całość — jego dom.

Ale i ten, zdawało się, niezmienny stan rzeczy, miał być przez „nią" potraktowany w inny sposób.

Zaledwie po kilku miesiącach, Rafał był Zświadkiem pierwszej w jego życiu przeprowadzki. Po tym znalazł się w jakiejś willi na peryferiach, gdzie wszystko było „modern". Jego pokój też był jakiś inny, dziwny. Okna ogromne o firankach gładkich w miękkich fałdach spływających od ram, sprzęty proste, białe, z okuciem metalowym, błyszczącym na kantach, jakiś jasny dywanik na podłodze — i koniec.

To nie był jego pokój. Gdy go tu pierwszy raz wprowadzono, rozpłakał się. — Zwyczajnie, jak dziecko, głośno, ze szlochem niepowstrzymanym. I wtenczas przyszła „Ona". Mówiła, że Rafał za często płacze, tłumaczyła coś, przekładała...

O! Jak on ją w tej chwili nienawidził!

Przy pierwszym jednak już badaniu swej rezydencji, odnalazł za szafą, swoich towarzyszów dawnych wesołych zabaw. Gdy po jakimś czasie znaleziono go tam, spał skulony, z ciemną główką przytuloną do dwu kudłatych, wiecznie śmiejących się misiów, i sam uśmiechał się przez sen.

Czy był szczęśliwy?... Może i przyzwyczaił się do nowego otoczenia i nowego trybu życia, o tym jednak wiedzieć mogła tylko jego stara piastunka. Raz jednak, kiedy wynurzał jej swe dziecięce kłopoty zakończył: Tylko — wiesz, „Ona" tu jeszcze wciąż jest! Niespodziewanie dowiedział się, że „Ona" tu zostanie na zawsze, bo to jest jego „Macocha". Tak, — powiedziała wyraźnie, dobitnie, nie licząc się z wrażeniem ani następstwami. Rafał zamyślił się, zasępiło mu się czoło, i marszcząc komicznie brwi, wolno powtórzył: Ma—co—cha?... Ale nie otrzymał od niej odpowiedzi, bo nagle pociągnęła go gwałtownie do siebie i wybuchając płaczem, to znów tuląc go, wyznała, że jeszcze tylko kilka dni może z nim być, że nie wolno jej tego powiedzieć, ale... „Ona" kazała jej odejść. Rafałem zajmie się ktoś inny.

Była to jedna z małych, codziennych zmian, ale nie dla Rafała. Dla niego była ciosem. Wrócił z dworca, gdzie odprowadził swą dotychczasową towarzyszkę, smutny, przygnębiony i jeszcze bardziej nieufny. Był teraz sam. Mniej się teraz bawił, a więcej myślał i często go widzieć było można siedzącego cicho, bez ruchu. Może właśnie dlatego teraz zauważał więcej niż przez cały poprzedni czas. Widział, jak „Ona" w południe, przed przyjściem ojca, poprawiała co chwilę swoje puszyste włosy, jak skrapiała suknie pachnącymi olejkami, jak śpiewała, wyglądając wyczekująco. — Ojciec przynosił jej świeże kwiaty, i gdy tak wchodzili razem z halu uśmiechnięci, rozradowani, Rafał nie biegł z przywitaniem, ale wysuwał się niespostrzeżenie i szeptem, z całą dziecięcą pasją wymawiał „Macocha"! Tyle w tym słowie było goryczy i gniewu, że musiała to chyba być jego największa zemsta. Zresztą, pozostawiony sam sobie, stawał się coraz więcej zamknięty. Ojcu też nie okazywał już dawnego swego przywiązania, wzajemnie spodziewając się po nim raczej oziębłości. Nie wiedział o tym, że był bacznie śledzony że z obserwacji wypływały wnioski, z wniosków nowe postępowanie w odniesieniu do niego.

To była nowa metoda podchodzenia do dzieci do zrozumienia ich uczuć i myśli.

A Rafał czuł się tak bardzo sam. Nieraz brakło mu dobrego słowa, pieszczoty i kołysanki w ciemny wieczór. Tęsknił już podświadomie do tego, szukał...

Wieczorem, kiedy ułożony do snu przymykał oczy, czuł jak „Ona" skręca lampę na nocnym stoliku, jak na palcach wychodzi i przymyka drzwi.

Otwierał oczy, deszcz padał za oknami, ale nie taki jak tamten w jego dawnym pokoiku!...

Tam krople były różnokolorowe, jak z bajki, i zaczarowana baśń snuła się barwnie o przygodach...

Nie wiedział, że to blask neonów odbijał się w kroplach zawisłych na szybach, że zwykła była piosnka, tylko śpiewały ją drogie usta.

Nie było dawnego pokoiku.

Deszcz dzwonił o szyby, o parapet uderzał głucho; w żaluzjach tłukł się wiatr, a na ścianach pokoju kładł się smętek. Drzwi były uchylone — z dalszych pokojów wpływała szczeliną ścichła jakaś nuta.

To „Ona" grała na pianinie. Cicha melodia nikła, as łodka i rzewliwa snuła się i przywodzić zaczęła dawne rzewne marzenia, wprowadzać jęła w cichy, zaklęty świat czaru, przywabiać postacie z baśni, rzewne, nierealne... A do wtóru grały za oknami skrzypki, zaklęte na wiatru strunach, i dzwonił deszcz...

Smutno — bo to łzy są, te szkliste, błyszczące, krople dżdżu, to łzy — niebios rozpłakanych.

Rafał z cicha zaczął płakać. Potem wtulił głowę w białą pościel i łkał cichutko, po dziecinnemu, drgając całym ciałkiem. Nie słyszał, że ktoś wszedł na palcach, tylko nagle uczuł, jak unosi go delikatnie, tuli i całuje. Spojrzał, ale nie odepchnął ramion, co go obejmowały. Wiedział, że to tak strasznie źle być samemu, a jemu teraz było tak dobrze, tak spokojnie, i żalu już nie czuł. Gdy zostanie sam... nie, nie chciał! Nagłym ruchem zarzucił drobne rączki na jej szyję i przytulił główkę do jasnych, puszystych włosów, szepcąc cicho, tkliwie — Mamo!...

Z. Langer.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Br. S. — Rytel. Serdecznie dziękujemy Panu za słowa uznania skierowane pod adresem „Moich Powieści" i zawiadamiamy uprzejmie, że życzone numery doslaliśmy.

Premia wyjdzie z końcem maja lub początkiem czerwca i naturalnie zostanie Panu doslana. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

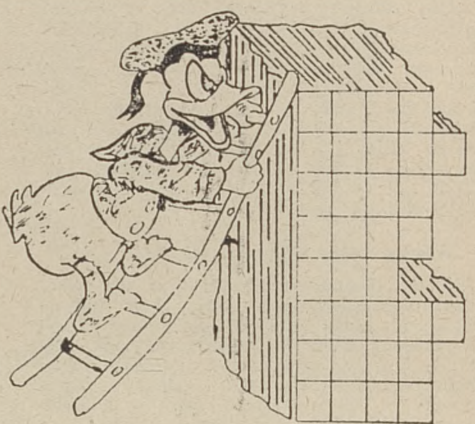
CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF PODWÓJNY
Uł. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.).

W podaną figurę wpisać wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwszy rząd da rozwiązanie. Następnie ponownie wpisać wyrazy o podanym znaczeniu w drugich oznaczeniach.

Znaczenie wyrazów I. 1. Metal. 2. Cienki muślin, tkanina bawełniana ze splotem płóciennym. 3. Stolica największego hrabstwa angielskiego. 4. Grubo zmielone zboże. 5. Tytuł dawnych panujących rosyjskich i bułgarskich. 6. Miasteczko nad Wieprzem niedaleko Dęblina. 7. Angielski lord pieczęci prywatnej, minister spr. zagr. 1935. 8. Tlenek węgla.

Znaczenie wyrazów II. 1. Rodzaj spojenia drzewa za pomocą nacięć. 2. Grecki bóg wiatru. 3. Półwysep w płn.-wsch. Australii. 5. Minister Sprawiedliw. 1928—30, Marszałek sejmu 1935. 4. Małe kulki ołowiane. 6. Imię żeńskie. 7. Ogród rajski. 8. Jezioro w Afryce (Sudan).



BILETY WIZYTOWE
ul. „Eros".

Tadek Noman
Nina Ikarka
G. Ekola

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 12 maja br. Rozwiązanie zadań z nr. 17 „Moich Powieści":

I Przestawianka:

P R A W D Z I W Y C H P
R Z Y J A C I Ó Ł P O Z
N A J E M Y W B I E D Z
I E M I C K I E W I C Z

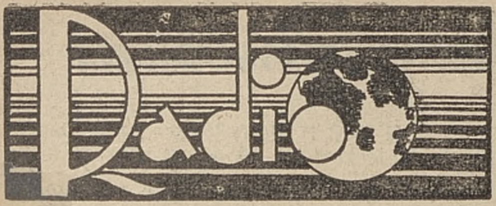
Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie *Mickiewicz.*

Dopełnianka:

Doświadczeniem nazywa każdy błędy, które popełnił. *Oskar Wilde.*

Trafne rozwiązanie nadesłali pp. Gołębiewski Antoni — Poznań, Królak Jan — Kraków, Golik Ignacy — Bydgoszcz, Kaliński Henryk — Bydgoszcz, Kopczyński Zygmunt — Poznań.

Nagrody w drodze losowania prypadły pp.: Gołębiewskiemu z Poznania i Kopczyńskiemu z Poznania.



Niedziela, dnia 7 maja 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Białegostoku (nabożeństwo i reportaż) 10.50 Muzyka 12.03 Poranek symfoniczny z Torunia 13.15 Muzyka obiadowa z Poznania 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital śpiewaczy Thyga Thygersona 16.55 „Las" — premiera słuchowiska J. Morawskiej 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Nowe nagrania utworów Mozarta 21.20 Muzyka taneczna z Katowic 21.50 „Sałatka majowa" — wesoła audycja ze Lwowa 22.30 D. c. muzyki tanecznej.

Poniedziałek, dnia 8 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 „Fats" Waller — kompozytor i wykonawca — koncert z płyt 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja dla poborowych 13.00 Audycja dla kupców 13.30 Muzyka poważna i lekka — audycja dla liceów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Tajemniczy ogród" 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 „Menażeria muzyczna" — audycja ze Lwowa 17.15 „Wypoczynek, sprawność, kultura" — odczyt 17.30 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera 18.00 Stylizowawne pieśni murzyńskie — koncert z płyt 18.30 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.00 Koncert rozrywkowy z Katowic 20.00 Audycja dla wsi 20.15 D. c. koncertu rozrywkowego 21.00 I. J. Paderewswki: Wariacje fortepianowe z fugą es-moll op. 23 — wyk. Józef Turczyński 21.45 Śpiewa Lili Pons — sopran — koncert z płyt 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 9 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Śpiewa Beniamino Gigli (płyty) 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 „Straszne przygody Toffi" — opowiadanie dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Pieśni Mendelssohna i Schuberta — koncert z Wilna 16.55 Surowce w życiu gospodarczym — kauczuk — pogadanka 17.05 Utwory klarnetowe wykona Józef Madeja 17.25 Angielski przyjaciel Polski — pogadanka 18.00 Gra orkiestra dęta 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 „Wilhelm Tell" — opera Rossiniego (transmisja z Florencji).

Środa, dnia 10 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Muzyka z płyt 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.20 Dom i szkoła: O szkołach specjalnych — pogadanka 16.35 Echa wiedeńskie w wyk. Tria Rozgł. Poznańskiej 17.00 Odczyt wojskowy 17.15 Koncert solistów 18.00 „Te Cztery" i „Czwórka radiowa" — płyty 18.30 Echa mocy i chwały 18.40 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 19.00 (W przerwie koncertu) Powieść mówiona 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. G. Konatkowskiej 21.30 „Pochodnie wieków: „Marsylianka" 22.00 Folklor różnych narodów — audycja muzyczno słowna 22.45 Feliks Mendelssohn: Hebrydy — uwertura (płyty).

Czwartek, dnia 11 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 „Koncert Chopina w Paryżu" — poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.25 Muzyka 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowa technika z młodzieżą 15.15 Kłopoty i rady: „Szukam letniska" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 „Wiejskie spółdzielnie w walce o lepszą przyszłość wsi" — pog. dla młodzieży licealnej 16.40 Koncert orkiestry Adama Hermana 17.20 Zwykła woskowa komórka — pogadanka 17.30 Arie operowe w wyk. E. Mossakowskiego 18.00 Koncert poświęcony twórczości Hugo Alfvena (transmisja ze Sztokholmu) zdjęcie dźwiękowe 18.30 „Wśród rybaków" — audycja literacko-muzyczna 19.00 Koncert popularny 20.00 Audycja dla wsi 20.15 D. c. koncertu popularnego 21.00 Franciszek Schubert: kwartet smyczkowy d-moll — koncert w wyk. kwartetu P. R. 21.40 „Śmierć Batorego" — fragment z książki Miklasa Kallay'a 22.00 Muzyka telefoniczna z płyt 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 12 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 9.45 W 4-tą rocznicę zgonu Józefa Piłsudskiego Transmisja nabożeństwa żałobnego i reportaż 11.00 Audycja dla szkół: „Jak Marszałek Piłsudski prowadził Polskę ku wielkości" 12.03 Audycja południowa 15.00 Okolicznościowa audycja dla młodzieży 15.20 Koncert 16.20 Koncert solistów 17.05 „O Józefie Piłsudskim swoi i obcy" — z artykułów pośmiertnych 17.25 Miniatury kwartetowe (muzyka polska) — koncert 18.00 „Krypta pod Wieżą Srebrnych Dzwonów" — audycja 18.20 Koncert z sali Polskiej YMCA z Łodzi 19.00 Przemówienie gen. br. K. Sosnkowskiego, przewodniczącego Wydz. Wykon. Nacz. Komitetu Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego 19.15 Koncert z Poznania 20.20 „Ostatnie werble" — Jana Maklakiewicza — koncert 20.40 „W godzinę śmierci" 21.00 Józef Kozłowski: „Requiem" — koncert 22.00 Audycja poetycka w opr. W. Sebyły 22.25 Muzyka polska.

Sobota, dnia 13 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „O niedźwiedzim tańcu" 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.35 Polskie utwory fortepianowe w wyk. St. Chojeckiego 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Potulic 18.00 Piosenki w wyk. Lucyny Szczepańskiej (płyty) 18.30 Audycja dla Polaków zagranicą 19.15 Koncert rozrywkowy z Wilna 19.40 Koncert polskiej muzyki ludowej (transmisja do Szwajcarii) 20.00 Audycja dla wsi 20.20 Transmisja koncertu ze Szwajcarii 21.00 „Wieczór majowy" — audycja literacko-muzyczna 23.15 Muzyka taneczna.



PROZA

Za kulisami teatrzyku rozmawiają dwie girlsy:

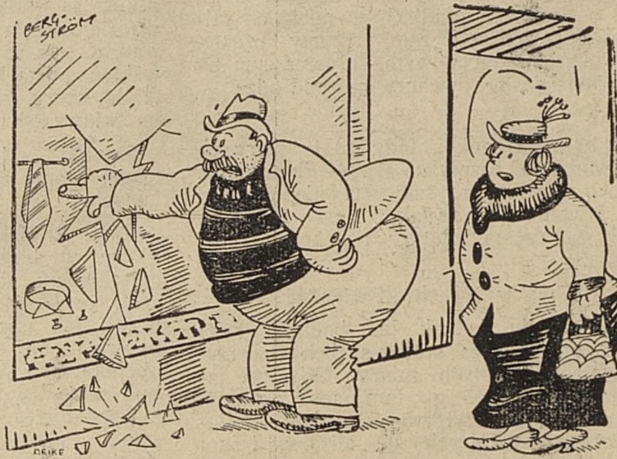
— A czy ten doktór, z którym masz zamiar się pobrać jest bogaty?

— A cóżeś ty myślała, że wychodzę za niego tylko ze względów zdrowotnych?

RÓŻNICA

— Mąż rzucił we mnie imbrykiem z herbatą. Czy pani zdarzyło się coś podobnego?

— Nie! My pijamy tylko kakao.



— A mówiłam ci już tyle razy, abyś nigdy palcem nie pokazywał.

POWODZENIE

— Jak tam prosperuje twoje nowozałożone biuro matrymonialne?

— Doskonale Pierwsza kandydatka od razu wyszła za mąż!

— Tak? A za kogo?

— No, za mnie!

MAŁY MIESZCZUCH

Mały Jacek spaceruje z matką po zwierzyńcu. Zatrzymują się przed jedną z przegród.

— To świnia — powiada matka.

— Cóż to zwierzątko zrobiło złego, że je nazywasz świnią, mamo? — pyta malec.

JESZCZE NIE WIE

Przybyła świeżo pokojówka dopuszcza się różnych zdrożności. Wyprowadzona wreszcie z równowagi, woła pani domu:

— Ależ dziewczyno, czy sądzisz, że jesteś w domu wariatów!?

— Nie wiem jeszcze, proszę pani — odpowiada służąca — przybyłam tu niedawno.

GRZECZNOŚĆ

— Wynoś mi się pan zaraz z mego pola, albo połamię panu kości! — woła gospodarz do wycieczkowicza.

— Ależ panie gospodarzu, nie wiedziałem, że tędy nie wolno przechodzić.

— Wiem to i dlatego też mówię na razie grzecznie do pana.

CZUŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA

Żona wyglądając oknem:

— Ach, jaka okropna pogoda! Psa nie można na dwór wypuścić. Ach, mężulku najdroższy, możebyś zaniósł na pocztę mój pilny list.

* * *

— Piszesz do żony dwa razy na dzień? To miłość co się zowie.

— Ach, miłość. Powiedziała mi przed odjazdem, że wróci natychmiast, gdyby nie otrzymała co dnia wiadomości. A jakże łatwo może przecież list przepaść na poczcie!...

CHARAKTERYSTYKA PORÓWNAWCZA

— Jak odróżnić Szkota od Francuza i Anglika?

— Należy zaprowadzić wszystkich trzech do kina na jakiś smutny film. Anglik przez cały czas nie uroni ani jednej łezki. Francuz płacze tylko w najbardziej wzruszających momentach. Szkot zaś płacze już przy kupnie biletu!

ZASADNICZA RÓŻNICA

— Jaka jest różnica między wariatem a geniuszem?

— Wariat jest utrzymywany na koszt państwa...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.